

Izabela Szolc

Strzeż się psa

Psi kryminał

Dla Mamy

„Nie czują
upadłe dzieci Ewy...

Ach, tego szczęśliwego zapachu wody,
tej odważnej woni kamienia!"

G. K. Chesterton, The Song of Quoodle

(przeł. Barbara Lindenberg)

W tym roku ciepłe noce ostatecznie odeszły do przeszłości. Siedziałem na tarasie, patrząc w granatowe niebo, raz po raz przecinane światłami samolotów podchodzących do lądowania. Oby tylko nie usiadły na lodowatej terakocie, zamieniając w popiół mnie i zestaw ogrodowych krzesel. Laura najwyraźniej zamierzała sprzątnąć je do komórki gdzieś na Boże Narodzenie. A co ze mną? Też czekała, aż zamienię się w sopel? Słyszałem, jak krzyczy, najwyraźniej zaprzętały ją inne rzeczy niż pamięć o mnie, świerknącym na dworze. Sprawy natury osobistej, rzekłbym. I znowu spojrzałem w niebo, tym razem myśląc o Łajce, która wciąż wirowała po orbicie w Sputniku 2. Coraz dalej od domu.

Coś plasnęło o parapet podobno dźwiękoszczelnego okna, niezbędne, gdy mieszka się pod korytarzem powietrznym. Falowanie i spadanie. Tudzież niezbędnego w innych sytuacjach... Na myśl przyszły mi słowa z Szekspirowskiego dramatu Juliusz Cezar: Wołać będzie: Mordować! /1 spuści psy wojny! Przyszły i przeszły, choć, cholera, nie do końca.

„Strzeż się psa" wypisywali Rzymianie na swoich rozgrzanych słońcem mozaikach. Cave canem — czyż nie za sprawą tego hasła tu byłem? Tak, ale wcale nie jest łatwo rzucić się włoskim stylem w ogień awantury domowej, o której wiadomo, że gorsza od skutego wiecznym lodem dantejskiego Piekła. Byłem zatrzaśnięty na tarasie, zamarzał mi zadek. Laura długo finiszuje i w miłości, i w nienawiści. Ot, jej sposób na przedłużenie sobie przyjemności. Erudyta się znalazł, pomyślcie sobie. A czemu by nie? Jeśli jesteś kształtowany przez rodzinę jednocześnie kulturalną i patologiczną, to trudno, żebyś wyrósł na Rin Tin Tina. Trudno, bo rola upudrowanego komedianta czy niemego błazna odpowiadałaby mi bardziej niż rola stróża, pasterza, bodyguarda. Jasne, mógłbym pozostać psem.

Wypadałoby w tym miejscu zabawić się w pana Umberto Eco albo Jerzego Pilcha i wtrącić kilka 8-

słów o mojej przeszłości. Parę zdań nim zamarznie mi też język, chyba że Laura odpowiednio szybko

zdecyduje się odgryźć łeb swemu absztyfikantowi. Przeszedłem na świat jak każdy: nie wiedząc, co czynię. Zdezorientowany, z okołoporodową demencją. Kto...? Kim...? Co?! Gdzie???

— To canis lopus — stworzyły mnie słowa. — Pies domowy.

— Raczej lapsus niż lopus — odgryzł się wyższy głos i to była Laura. — On chyba już nie urośnie?

— Twoja mama powiedziałaaby, że to gran bambino... Ale o to chodziło.

— Czyli będzie większy?

— Największy! — Poczulem, że od źródła niższego i starszego głosu nagle uderzyło ciepło krwi dopływającej do policzków.

— Tato!

— Lauro, to z mamą postanowiliśmy, że potrzebujesz psa obronnego. Samotnie mieszkająca młoda kobieta...

— Znowu to samo!

— Przecież to uroczy szczeniak! Spójrz na te długe, nisko zwisające uszy. A to wysklepienie czaszki! Tata, czyli „dziadek”, był profesorem filologii klasycznej, ale czasem zagalopowywał się do przeszłości, kiedy jako chłopiec dłubiący w piaskownicy 9-

marzył o tym, by zostać paleontologiem. Dobrze, że stało się inaczej. W przeciwnym razie byłbym dinozaurem, martwym. W tamtej chwili zaś byłem skamieniałym ze strachu szczeniakiem bloodhonda.

— Powiedziałeś bloodhound?

— Są też sympatyczniejsze imiona. W średniowieczu nazywano je psami świętego Huberta.

— To musiał być pomysł mamy.

Uzupełniając wiadomości:

obiecuję, że opowieść ta jest

krwawą sensacją, a nie sagą rodzinną, cieknącą jak krew z nosa.

I dodam, że matka Laury była specjalistką od średniowiecznego włoskiego, czyli tak jakby bardziej pokierszowanej łaciny. Spotkali się

z ojcem (który miał wówczas dwadzieścia dwa lata i nie domyślał się, co czeka już za progiem) na zjeździe lingwistów. Biorąc pod uwagę specjalizację ogółu, zlot powinien odbyć się w Rzymie. Ze względu na to, że wszyscy jego uczestnicy posiadali jedynie paszporty uprawniające do przekraczania bratnich krajów socjalistycznych, wylądowali w Jugosławii. Tata i mama zmajstrowali Laurę w Dubrowniku. Później 10-

musieli przeprowadzić się do dużego miasta, gdzie jedyny kontakt z łaciną zapewniała buntująca się przeciwko swoim klasykom klasa robotnicza. Etc., etc.

Gdzieś po jedenastej et cetera granice i paszporty

Wschód — Zachód przestały mieć aż takie znaczenie. Matka Laury wyjechała do Florencji na naukowy kontrakt, ojciec dochrapał się pilśniowej katedry na uniwersytecie, a sama Laura dorosła i uznała, że dzielenie życia pomiędzy dwa domy to za wiele, więc wyjechała do stolicy i wynajęła mieszkanie w zaułku, gdzie co i rusz natykała się na krzywą, ale spopularyzowaną łacinę.

— Tu jest niebezpiecznie. Będziesz miała tego psa!

— Powiedziałeś „Hubert”?

— Albrecht, Albrecht powiedziałem. To był pierwszy miot bardzo rasowej suki, więc wszystkie szczeniaki dostały imiona na pierwszą literę alfabetu.

— Albrecht, pies świętego Huberta?

Bloodhound? — Błysnęło mi w szczenięcej (bo nie małej) głowie, jak w rodzącej się galaktyce. Ja? Przecież ja jestem łagodny. Od urodzenia, cokolwiek to znaczy.

— Bloodhound, pies szukający zaginionych dzieci, tropiący kryminalistów i zbiegłych niewolników

— wyczytała Laura w encyklopedii. — Do jakiej grupy mnie zaliczyliście? A co ty na to powiesz, Al?

11-

Spojrzałem w jej czarne, przepastne oczy i zemdlałem. Miałem sześć tygodni i już byłem zakochany na zabój. Ja, Al. Minęło prawie siedemdziesiąt miesięcy od tamtej chwili, a mnie zamarza zad, bo Laura właśnie wypłasza z naszego M kolejnego niewydarzonego kochanka. Oparłem pomarszczoną kufę na łapach i westchnąłem, szykując się do... wiosny. Dobiegł ostatni okrzyk i napięcie opadło. Nie minęła chwila, kiedy Laura otworzyła przeszkłone drzwi i zaprosiła mnie do mojego własnego domu.

— Ani mi się waży poruszyć ogonem — anatomia Laury miała jedną ciekawą rzecz (no, wiele ciekawych rzeczy, kiedy się ją panoramowało): jeden profil był harmonijny jak u modelki, drugi był profilem złoŃnicy. Zgadnijcie, który miałem teraz przed pyskiem? Awers czy rewers mojego skarbu? Podkuiliem, co miałem podkulić, ale...

— „Chcę, aby mój mężczyzna był jak mój pies”

— zacytowałem jej wypowiedź Gerii Halliwell „Ginger” Spice, właścicielki shi tzu (sic!) o imieniu Harry. Zignorowała mnie. Niektóre kobiety są z Wenus, a psy z Syriusza. Nasze gniazdko wyglądało, jakby przeszedł przez nie umiarkowany huragan. W kącie leżała drewniana figurka Buddy, która w mniej burzliwych czasach zdobyła biurko. W ekumenicznym geście powąchałem ją. Był to równocześnie

12-

gest ambiwalentny, bowiem to Budda powiedział, że „ci którzy mają na sumieniu podle czyny, odradzają się w sferze zwierząt lub w jednej ze sfer piekła”. Nie zgadzałem się z nim ani nawet z jego koniem, który tak ukochał swego pana, że serce mu pękło, kiedy tamten oddał się pokutnemu życiu.

— Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty mojego życia — powiedziała Laura, co było banalne nawet na nią, a przecież zawodowo zajmowała się banałem, wartościowaniem banału. Liczyłem na to, że od razu pójdziemy do łóżka, ale ona usiadła przy komputerze i zajęła się sprawami Firmy. Z jej fascynacji buddyzmem pozostały: płyta zespołu Nirvana, paczka wegetariańskiego żarcia dla psów z internetowego sklepu, no i ta figurka. Nie wiem, kiedy się połapała, że tak w ogóle to nie chce osiągnąć oświecenia, bo wtedy to życie okaże się jej życiem ostatnim. A kto by tak chciał? Wy? Ja nie. Tak jak wcześniej pragnieniem jej serca były wyrzeczenia, tak teraz przyjemności. Przyjemności jej i innych, dodajmy tonem usprawiedliwienia. Laura postanowiła „wiązać powietrze w węzły” i założyła małą agencję public relations. Dobrze jej szło: potrafiaby obdarzyć charyzmą i osobowością nawet zwój konopnego sznurka. Z pierwszych pieniędzy kupiła perfumy Guerlaina „Samsara”, równie bogate i pyszne, co zgubne, bo

13-
niosące posmak nieustannego życia. W różnych wcieleniach, postaciach, miejscach. Nie było źle — ona wciąż była Laurą, a ja jej psem, ale mogliśmy się wyprowadzić z podłej dzielnicy do nowo zbudowanych bloków, z jednej strony otwierających się na stację metra, z drugiej na las, którego koniec nikał w głębokim cieniu. Jasne, były jeszcze korytarze powietrzne nad głowami, a domy przypominały speerowskie blokhauzy, tyle że bez Speera, ale któż by się tym przejmował? Laura się rozwijała, a ja lubiłem świeże powietrze pachnące lasem, łąkami i kadzidłem (tak, obok wyrósł neokoszmary, przepraszam neoromański, kościół). Jest fajnie. Naszymi sąsiadami są single i młode pary. Mam masę kumppli. Wiadomo: nim dokonają bilansu, lukną na giełdowe wahania i kupią wszystkie nowinki o dzieciach — dla treningu wezmą sobie psa.

Laura przysłała do łóżka. Ja już tam na nią czekałem, bo czyż nie trawiła mnie choroba? Miała nawet swoją łacińską nazwę: morbus amor. Niepokojące, a ukochane objawy: uczucie ściskania w gardle, kołatanie serca, skurcze serca, gwałtowne ślinienie się (zamiast oblewania się potem, co występuje u innych gatunków), drżenie mięśni...

— Posuń się! — Jakże słodko w moich uszach brzmiało warczenie Laury. — Oddawaj poduszkę!

14-
Czyż to nie są wieczorne pogwarki starych, dobrych małżonków? Miała na sobie kusą koszulkę i dochodził od niej mocny zapach miętovej pasty do zębów. A pod nim była woń mojej Laury! Doprowadzała mnie do szału! Próbowałem wcisnąć jej kufę pod pachę. Wiedziała, że zrywa z kawalerem, więc nie wydepilowała tych małych włosków, które tak doskonale trzymają intymny aromat.

— Prześlą.

Obróciła się do mnie plecami. Przycisnąłem się do niej, kładąc łeb na jaśku i zarzucając łapę na ramię Laury. Była już zbyt śpiąca, aby zaprotestować. Też po chwili odpłynąłem.

Stanąłem nad nią. Za oknem świtało, a ja czułem, że mój pęcherz domaga się gwałtownego opróżnienia. Szybkiego, ale w romantycznej scenerii. Po drugiej zależało mi, aby spotkać na patio Tofu. Jego pan był maklerem giełdowym i już od bladego poranka szykował się na parkiet. Pomagała mu w tym nerwowa bezsenność.

Laura spała, pochrapując cichutko. Twarz miała obróconą lepszym profilem i wyglądała jak Śpiąca Królewna. Pochyliłem się i polizałem jej twarz. Od dołu do góry. Całownie. Zerwała się jak oparzona.

— Co ty wyprawiasz?!

15-

Leciutko zaskuczalem.

— Cholera jasna!

— Na spacer!

— Kto kładzie się z psami, ten budzi się z pchłami

— zamamrotała. Nie czułem się urażony. Miała prawo do takiej oceny sytuacji. Kłoda zsunęła się, ukazując jej gładką, umięśnioną nogę. Gdyby tylko się nie depilowała, byłaby to doskonała noga charcicy.

— Idź sam. Yyyidź sam — ziewnęła i nakryła głowę poduszką. Ściągnąłem ją. Gdyby była skłonna otworzyć się na mnie i posłuchać, wytłumaczyłbym jej, że ochroniarze wściekają się, kiedy psy hasają same po patio. Każdy z nas aż marzy, aby obesrać tę idealnie utrzymaną, wiecznie zieloną trawę... Yorkom czasem to się udaje. Malutkie, wredne pieseczki. Killery w miniaturowej i różowych sweterkach kamuflujących. A gdy tylko bloodhound próbuje swobodnie wybiegać się po patio, to wrzeszczą wszyscy. Ochroniarze, babcie, dzieciaki wywijające orła w piaskownicy. .. Wrzeszczy Laura:

— On nie gryzie!

— Jasne, od razu połyka!

Zatrzymuję się i wyję: o wy, ignoranci, nie wiecie, że bloodhoundy jak inne gończe nie mają instynktu zabijania? Morderstwa pozostawiamy ludziom i terierom. I co? Smycz, kaganiec, buda. Ta buda to licentia poetica, ale wszystko inne...

16-

— Zaraz się zleję, Lauro, na twój beżowy dywan. Wstała. Popatrzyłem na nią i zrozumiałem, dlaczego księżniczki w zapiskach bajkopisarzy najczęściej śpią. Przebudzone wyglądają jak matki Grendela.

— Albrecht!

— Hau?

— Idź. Nie sikaj na trawnik. A jeśli już, to dyskretnie.

— Wow!

Wypuściła mnie na korytarz

naszego bloku-molocha, a później, cholera jasna, zaspana, zadrzasnęła drzwi. Nieważne, poleciałem szukać ulgi.

Tofu już był na spacerze. Malker wypuścił go za bramkę, żeby pobiegł na pole (nasz supernowoczesny blok wybudowano pośród pól i... skowronków) i zrobił swoje. Podciąłem ciecica, który pakował się na patio z kompletem plastikowych wiader, i ujadając, pogałem za Tofikiem. Brzmi po gejowsku? Po pierwsze psy są biseksualne, po drugie ja tak do niego tylko w myślach.

— Ej, Wielki Kinol, poczekaj! — zaszczekałem, choć w ogóle się nie ruszał. Trwał z udręczoną miną.
17-

Proszę, młodszy ode mnie o rok, a tu problemy z prostatą.

Zdziwiłem się, że od razu nie odszczeknął. Gorzej: tylko popatrzył na mnie tymi swoimi smutnymi oczami basset hounda.

— Co jest? — Zatrzymałem się przy nim, kurtuazyjnie wważając się w jego wymęczone siuśki. Żal mi było łać przy nim prężnym strumieniem, więc sam się trochę stopowałem, ćwicząc Bóg wie jakie mięśnie, bo mięśnie Kegla mają chyba tylko suki.

— Al, podaj mi piątkę najbardziej inteligentnych psich ras.

— Tak od rana? Bez kawy, bez buzi? Bloodhoundy i...

— Nie ma na niej bloodhoundów.

— Jak to nie ma? Możemy być jeszcze sklasyfikowane jako psy świętego Huberta.

— Najinteligentniejsi: border collie, owczarek niemiecki, golden retriever, doberman, pinczer.

— A skąd w ogóle jest ta lista?

— Jak wszystko teraz, z internetu.

— Narzędzie Szatana.

Nie rozśmieszyłem go, ale czy w ogóle jest ktoś, kto potrafi rozśmieszyć basseta?

— Piątka psów najmniej rozgamiętych. Z internetu. Zgaduj, kurwa — był w tych ostrych słowach ból.
18-

— A bo ja wiem. — Nie chciałem być stronnicy, ale w końcu każdy ma swoje sympatie i antypatie. Naraz zalałem się zimnym potem. — Ale chyba nie psy świętego Huberta? — W końcu kształtująca historię tradycja chrześcijańska, no i konkordat, do czegoś zobowiązuje, nawet w sieci.

— Shi tzu.

— Ksenofobiczna ocena.

— Mastiffy.

— Mięśniaki.

— Chow-chowy.

— Niemowy. I ten granatowy język. Nie mogą

się odszczeknąć.

— Beagle.

— Nie lubię. Może i coś jest na rzeczy...

— Basset houndy.

— Nie!

— Nie musisz mnie pocieszać tylko dlatego, że jesteś moim kumplem. Al, czy ty uważasz, że ja rzeczywiście jestem głupi?

— Nie. Nikt nie jest doskonały, ale żeby od razu głupi...

— Co masz na myśli?

— Jaja ciągniesz po ziemi.

— Co? Po prostu jesteś zazdrosny o to, że trawa pieści moje jądra.

19-

— Makler cię nie wykastrował?

— A to co jest? — Wypiął się ku mnie, odważnie podnosząc ogon.

— Myślałem, że imitacja. Wiesz, teraz po kastracji wszywają takie kulki, żeby państwo nie czuli, że mają niepełnowartościowe psy.

— I ty, Brutusie?

— Przestań, Kinol. Myślałem, że skoro nie wyszło ci z tamtą suką...

— Wyszło mi. Tylko zmuszono ją do zabiegu.

— To nie była suka beagla?

— Fiona. To była Fiona.

— Jak nie ona, to inna.

— Wiesz, że basset houndy pochodzą od blood-houndów?

— No, Kinol.

— Właśnie: kinol. Nie zauważyłeś? Kinol, uszy, ogon, pysk tak w ogóle. Reszta skarłowaciła.

Cholera, z pyska był trochę do mnie podobny.

Naciągane? Czy ja odszczekuję się Laurze, jak mówię, że jestem podobny do Bogarta?

— A wiesz, dlaczego skarłowaciła? Żeby ludzie piechurzy mogli za nami nadażyć na polowaniu. Twój pan hrabia woził dupę na koniu i dlatego tylko nie ciągniesz jajami po ziemi.

— To też z internetu?

20-

— Z Wielkiej encyklopedii psów.

Cholera, tego już nie da się tak łatwo zignorować.

Na granicy kruszonego betonu i ostro podwiniętej trawy stał Makler i nerwowo zerkał na zegarek. Naraz obok pojawiła się Laura, od stóp do głów zakryta ubraniami, w czapce z daszkiem, spod którego ledwo było widać koniec nosa i okulary słoneczne. Myślałby kto, że słońce od razu ją zabije (była mgła), ma kaca giganta albo rozpoznają w niej mleczną siostrę Moniki Bellucci. Doprawdy, to dla tej kobiety wymyślono czador.

— Wracamy? — uprzejmie zapytał Tofika.

— E tam. — Obrócił się ogonem do Maklera i jak rakieta z opóźnionym zapłonem ruszył przed siebie.

Dogoniłem go.

Przewracał się właśnie na błotnistej ziemi, szczekając entuzjastycznie:

— Uwielbiam zapach zająca w wilgotne poranki!

Był moim najlepszym kumplem, co nie przeszkadzało mi po cichu posądzać go o cyklofrenię.

— A wracając do sprawy...

— Nie martw się, Tofik.

— Och nie, nie. Chodzi o zupełnie inną sprawę.

Kojarzysz Sybille?

— Tę rudą cockerkę?

21-

— No. Kradnie w naszym blokowym spożywczaku. Pogadałbyś z nią. Masz autorytet. Przez nią za chwilę w ogóle przestaną wpuszczać psy do środka. A sam wiesz, jak jest, zima idzie. Nikt nie lubi sobie odmrażać tyłka, gdy duzi robią zakupy. A kiedy wyskakiwali tylko po fajki, można było załapać dodatkowy spacer.

— Mnie i tak nikt nigdy nie wpuścił do tego sklepu.

— Dobra, wszystko przez to, że jesteś taki duuuży. Ale są mniejsi i najmniejsi, ci też są. Nie bądź takim książkowym sobkiem, arystokratycznym bufonem. Nie myśl tylko o sobie... No, Habsburska Wargo.

— Co powiedziałeś? Tam na końcu?

Nabrał wody w kufę. W sumie to nie wiedziałem, czy mam się obrazić. Niby sypał mi piaskiem oszczerstw w oczy, ale z drugiej strony pił do mojego nie byle jakiego pochodzenia... Jestem trochę snobem. Gdyby się wydało, że jedna z prababek miała romans z fila brasileiro... Umarłbym. Troszeczkę bym umarł.

— A! Sybille cię szanuje. Proszę... Proszę...

Mojego praprzodka wyhodowano gdzieś z tysiąc dwieście lat temu w benedyktyńskim klasztorze. Czasy były trudne, więc kolejni przeorzy woleli pozostać pod nieoficjalnymi auspicjami króla Francji. Co było łapówką dla koronowanej głowy? Co rok 22-

sześć szczeniąt bloodhouna. I tak do rewolucji w roku 1789. Król wylądował na szafocie, między innymi za grzeszki swojej żony, Habsburżanki jak się patrzy — można je było poznać po ciężkich dolnych wargach, zupełnie jak rasowe bloodhoundy... W złym momencie powiedziała wszystkim Francuzom, że jak nie stać ich na chleb, to niech jedzą ciastka. Nie miała racji? Ciastka uszczęśliwiają.

— Kradnie batoniki.

— Co...?

— Sybille. Czekolada uszczęśliwia.

— Będzie liniata — burknąłem.

— To jak? Pogadasz?

Nie powiedziałem ani tak, ani nie.

— Super, że pogadasz.

Ruszyliśmy w stronę domu nas wszystkich. Ktoś by pomyślał: królestwo Boże. Westchnąłem.

— Al? Wymień cztery dobre rzeczy.
— Mam dosyć twoich wyliczanek.
— Jedna to koza.
— Tofik, a ty czego się nażarteś?
— Pomyliło mi się. Chodziło mi o kozła, wiesz samca kozy. Następna to lew.
— Lew to kot. Nie lubimy kotów.
— Król, przeciwko któremu poddani się nie buntują.

23-

— To trzy.
— I chart. Chart też jest dobry.

Obróciłem się ku niemu.

— Albo charcica. Samica charta — zrobił cwany ryj, o ile to w ogóle możliwe u basseta. Z kim on, do diaska, plotkuje, jeśli nie robi tego ze mną? Poczuję się zazdrosny.

Rozdzielił się z Tofikiem. Wrócił do okutanej Laury. Zbyt zaprzętnięta swoimi porannymi fo-biami społecznymi, nie miała czasu, żeby mnie ob-sztorcować. Zresztą co by to dało? Byliśmy ze sobą tyle lat, że wiedzieliśmy o sobie to i owo. Ja ceniałem święty czy nawet śnięty spokój, Laura na swój sposób też. Inna sprawa, że potrafiliśmy — jak każda para, każdy człowiek i każdy pies — uwikłać się w kłopoty. To Laura, a nie ja, zaprotestowała przed podróżą windą — zbyt dużo emocji, takie fiuuu w górę, aż na drugie piętro. Poszliśmy schodami. Ja prowadziłem. Nie dałbym rady się zgubić. Drzwi na nasze piętro były szeroko otwarte, w takiej pozycji utrzymywał je sznur prowadzący od klamki do zaworu hydraulicznego. Dlaczego? Skomplikowana historia. Sąsiadka z przeciwka dostała od męża szczeniaka owczarka alzackiego. Miłe dziecko, tyle że nieokrzesane. Same uszy, skóra i ogon. Żadnej orientacji w terenie. Zbiór

24-

dobrych intencji okraszony zapachem małych siuszków i paniki. Brakowało mu ojcowskiej ręki. Jego pan był kapitanem lotnictwa i prawie w ogóle nie było go w domu. Jako zadośćuczynienie, dla zabicia czasu, jako alibi i Bóg wie co jeszcze kupił żonie wilczka. Niepotrzebnie, bo żona też nie była zbyt roz-garnięta. .. Wołali na niego Yossarian. Yossarian to, Yossarian tamto... Albo po prostu: Yossarian!!!, kiedy po raz kolejny się zgubił. Robił to wyłącznie wewnątrz naszego blokhauzu, zupełnie jakby lubił sobie polatać po schodach, tylko nie wiedział, kiedy przestać. Na którym piętrze wylądować. Aż któryś z lokatorów udrepczonych ciągłymi wrzaskami pani pilotowej, trzepotaniem łamanych obcasów na kamiennych stopniach i tupaniem psich pazurów skonstruował to, co skonstruował, czyli Sznurową Bramę Yossariana. Trochę pomogło. Już się nie gubił na klatce schodowej. Gorzej było z windą. Pani Yossariana za bardzo oswoiła się z samotnością.

— Czy to pana pies?

- Nie.
- A pani?
- Też nie. Mój siedzi o tutaj.
- Więc?
- Może on tak sam z siebie. Może lubi jeździć...

25-

Takie rozmowy toczono we-
wnątrz dźwigu osobowego. Yos-
sarian wywalał jęzor i cieszył się,
że widzi aż tyle nowych twarzy
(jedna klatka mieściła ponad
170 mieszkań). Mógł wznosić się
dziesięć pięter w górę, a nawet zjeź-
dzać dwa piętra w dół — do garaży
podziemnych. Pani Yossariana gubi-
ła go tak, jak inni gubią rękawiczki
czy wieczne pióra. I nawet mu się to
podało. Odczuwał pewną niezależność, wystarczy-
ło wydostać się z windy i zwąchać sznurek, nie?
— YossarianH! — regularnie roznosiło się po na-
szej betonowej fortecy widmowe wycie. Myślałem,
że albo ona straci głos, albo w końcu się dotrą. Spoj-
rzałem na Laurę i postawiłem na to drugie. Któres
musi wyjść na ludzi albo zejść na psy. Mniejsza o na-
zwę. „Współdziałamy” od 15 000 lat. Kto by się cze-
piał szczegółów.

Kto zrozumie spaniela? Leżałem i próbowałem
gapić się w sufit, udając, że to niebo. Nie podobała
mi się ta sprawa z Sybille, ale nie mogłem się z niej
wykręcić. Żyliśmy w zamkniętej enklawie, jak na wy-
spie, w której szczególnego znaczenia nabiera zasada

26-

„łapa łapę myje”. Czy mogłem ją złamać, skoro sam
ją przenieśliśmy na nasz grunt? Cholera, nie wypadła.
A jednak... Po spanielach jakoś nie spodziewałem się
niczego dobrego. Ich wilgotne oczy o łagodnym wyra-
zie myliły. Kiedy Sybille pojawiła się na naszym po-
dwórku, najpierw wszystkie psy wzdychały:

- Ale z tej małej starter!

By niedługo później powtarzać jak mantrę:

- Uważaj, ta mała to wariatka!

Uważałem, co mnie specjalnie wiele nie koszto-
wało. Sybille była urocza, miała piękne jasnorude
futro i przypominała Kasię Cichopek, ale Kasia Ci-
chopek po prostu nie jest w moim typie. W dodatku
ciągle pachniała wazeliną, a nie suczką. To przez wy-
stawy, tłumaczyła, widząc we mnie dobrego, starsze-
go wujka. Przed pokazem smarują psie kufy, aby
sierść bardziej lśniła... Cóż, mała została kupiona
przez początkującą handlerkę, którą raczej powinno
nazwać się handlarką. Suczce przypadła w udziale
rola małego Mozarta. Widzieliście Amadeusa Miloša
Formana? Jeśli tak, to wiele potraficie zrozumieć,
a nawet sobie wyobrazić. Ciężkie jest życie młodego
geniusza. Sybille żaliła mi się, że nigdy nie może jeść
z miseczki ustawionej na podłodze, tylko musi wyprę-

zać się do dziecięcego stołka, a wszystko po to, aby później odruchowo prostować się przed sędziami 27-

i dumnie prezentować uniesiony łeb i pełną blasku urodę. A teraz nasza gwiazda uzależniła się od czekolady? Czy w ogóle zdawała sobie sprawę, jak słodczyce szkodzą? Czekolada uszczęśliwia, jasne. Czekolada, papierosy, truskawki, szampan, koka — wszystkie miały wpisane w swoją definicję ten dualizm. Cholera, może i byłem jej przyszywanym wujem, ale... Milka szkodzi na futro! Przytyłaś, skarbie! I pomyśl o tych, co zostają za drzwiami spożywczego!

W istocie dawno nie słyszałem o żadnej kolejnej wystawie. Nie widziałem też od jakiegoś czasu właścicielki Sybille. Dopadła ją chandra? A jeśli tak, to czy przez osmozę przeszła na suczkę? W końcu gdy kiedyś złapałem świerzbowca, weterynarz spytał Laurę, czy ona też się drapie. Skłamała, że nie, bo chciała umawiać się z nim na randki. Czempiony powinny być tak wytresowane, aby z wystawcą stanowiły całość. Czy to właśnie dopadło Sybille? Fatalne uczłowieczenie? Rzeczywiście musiałem pogadać z tą małą. Pozostało tylko pytanie, jak to zrobić.

Święty Hubercie wspomóż! Bluźniłem? A gdzie tam. Jean Prieur napisał w Duszy zwierząt-, „animal est anima”. I niech pamiętają o tym wszyscy, którzy wymyślili trzymowanie spanieli czy zdegażowywanie im włosów na zadzie, cokolwiek to znaczy! Popatrzyłem w sufit: do roboty, wujku Alu. Gdyby pozwalały mi 28-

na to fafle, zagwizdałbym suitę z Ojca chrzestnego. Wystarczyło teraz, korzystając z tego, że Laura śpiewa w wannie, zlokalizować jej papierosy i rozszarpać je. Tak lubi sobie zapalić, kiedy wyjdzie z wody. Dochodziła dziesiąta wieczorem. Jeszcze przez godzinę nasz spożywczy był otwarty. Liczyłem na to, że kiedy się przewietrzę i dokonam wizji lokalnej, to wymyślę coś więcej niż „czekolada uszczęśliwia”. Już wyobrażałem sobie ten dialog.

— Czekolada uszczęśliwia.

— Jasne, a świstak siedzi i zawija te sreberka — odpowiadam Sybille. Na kufie ma roz smarowane słodkości, a tymczasem nocny wiatr bawi się rozszarpnym opakowaniem po batoniku. Ha! Naprawdę jestem wybrańcem bogów (i mniejsza z tym, że wybrańcy bogów żyją krótko, mnie to nie dotyczy. Żwa-wo wkraczałem w szósty rok egzystencji, a za chwilę przy drzwiach lodówki miała pojawić się psia karma z napisem „senior”). Jeśli miałem pożałować swojej wieczornej euforii, to zupełnie z innego, zaciemnionego przede mną — śmiertelnym — powodu. Zaprawdę powiadam wam, pożałowałem! Na razie jednak księżyc wychodzi zza chmury, oświetlając srebrem sylwetkę Sybille. Dawno nie widziała grzebienia.

— Nie wiem, skąd we mnie ten wewnętrzny Przymus. Kiedy jem, od razu jest mi tak dooobrze.

Ta błogość, ta senność, to zmęczenie. Zupełnie jakbym wcześniej, no wiesz, Al. — Ma wielkie rozmarzone oczy i, cholera, jest dziewczcą! A może nie? Jeśli nie, oznaczałoby to, że suczki zupełnie jak kobiety odkryły moc orgazmu. Nie chcę wyjść na szowinistycznego samca, ale to byłby koniec radosnego, egoistycznego ciupciana.

— Zjadłaś cały batonik?

— Sorry, Al. — Wzdycha. — Gdzieś straciłam całe swoje dobre maniere. — Chichocze. — Czy wiesz, że to spaniele ucywilizowały Amerykę? Byłyśmy na Mayflower.

Ech, purytanko, ryżo WASP z oczami Kaliny Jędrusik.

Nie do końca wierzyłem swojemu szczęściu. Byłem racjonalistą, któremu się powiodło. Kiedy Laura przestała już się miotać w poszukiwaniu fajek, zeszła do sklepu, zabierając mnie ze sobą. Cóż, o tej porze życie kwitnie pod spożywczaikiem. Wewnątrz zbierają się wszyscy wygonieni z domu zewem potrzeby papierosów, wina, papieru toaletowego i paracetamolu. Nie może być inaczej, skoro przez trzy czwarte doby nasz blok przypomina zamek duchów, a nie ludzkie siedlisko. Dwunożni harują, żeby mieć na raty za „własne” M. Szarpią się na „ścieżce kariery”, a kiedy wieczorem docierają do własnej łazienki, pragnąc ulżyć zestresowanym trzewiom... lądują w sklepie, obiecując sobie, że już nigdy nie będą zmuszeni podetrzeć się „Bussines Magazine”. Ech, ludzie!... Założyłem, że na tym więziennym spacerniaku spotkam nie tylko zaharowanych dwunożnych, ale i ich czworonożnych przyjaciół, popytam, pogadam. Ale żeby od razu spotkać Sybille? Żeby na własne oczy widzieć, jak wkrada się do sklepu za swoim panem o aparycji niedźwiedzia, jak trzymając się zaślony z jego nóg omija półki z jednorazową kawą i cukrem trzcinowym, a później wyćwiczonym gestem, wysoko unosi szyję i zwija ze stojaka marsa, aby ostatecznie pochłonąć go w trzech kęsach i nie podzielić się z żadnym z psów, które zmarznięte tkwiły przed frontem wystawy?

— Nie wiem, co się ze mną dzieje — zapłakała Sybille.

— Nie bądź beksą, kochanie.

Zapłakała jeszcze głośniej.

— Żadnych wystaw? Żadnego tymowania? Żadnej diety i spacerowania o pustym żołądku po wybiegu?

— Nic. A pani to nawet nie przeciera moi pucharów. Ze sklepu wyszedł jej właściciel, niosąc w reklamówce kilogram ogórków i paczkę lodów waniliowych. Coś mi zaświtało.

31-

— Czy twoja pani przypadkiem nie jest przy nadziei?

— Oui — nie wiem, czemu Sybille upierała się przy francuskim. Kto zrozumie spaniela? — Nie bę-

dę już jedynaczką.

Osmoza! Osmoza! Sybille była w ciąży urojonej i nawet o tym nie wiedziała. Czego dzisiaj uczą te panienki? Odkryły orgazm, a zapomniały o podstawach!

— Muszę już iść, Al. Czekaają na mnie. — A niech mnie cholera, wciąż miała urok divy.

— Spaniele lubią dzieci. Zobaczysz. Dzieci uszczęśliwiają.

— Jak czekolada?

— Nie można być zbyt wybrednym, wybierając jedzenie.

Roześmiała się.

— Sybille — potruchtałem za nią. — Nie kradnij więcej. Niektórym to się nie podoba.

— Ale skąd...?

— Ja to załatwię. W końcu jestem twoim wujkiem. — Polizałem ją po pyszczku. Nie była w moim typie, ale jak pachniała! — Kiedy spodziewacie się rozwiązania?

— W maju, Al. Czy to nie cudowne? Będziemy mieli dziewczynkę.

Miałem tchórzliwą nadzieję, że do maja wszystko się ułoży.

— Albrecht, noga! — Laura kopciła jak komin. Kichnąłem. Pomyśleć, że jeszcze w połowie ubiegłego wieku psy i wielbłądy pozowały do zdjęć reklamujących papierosy. Może ktoś mi wytłumaczy dlaczego? Lauro? Dziś pozostały tylko wielbłądy. I dobrze.

Petrarka widział swoją Laurę raptem trzy razy. Raz w kościele, drugi raz, gdy nie odkloniła mu się na ulicy, i po raz ostatni na pogrzebie — jej własnym. W porównaniu z Petrarką byłem szczęśliwcem.

Oparłem łapy o parapet i wyrząłem za okno, trącając nosem żaluzje. Młody, duży żółty pies kręcił się w kółko, co może było zabawnym, ale niedyskretnym sposobem na obejrzenie sobie jąder. Są, synu. Trzymają się dzielnie — chciałem do niego krzyknąć, ale głos uwiązał mi w gardle.

Taka puchata karuzela... To szczeniackie. Ale i odprężające. Częstokroć jedno z drugim idzie w parze.

Moja ukochana Lauro! „Im mniejszą mam nadzieję, tym goręcej kocham” — zapisał Terencjusz około 160 r. p.n.e. w poemacie Eunuch.

Teraz już wiecie. Jestem kastratem.

Nie widać tego na pierwszy rzut oka, bo pod ogonem mam wszyte dwie plastikowe kuleczki. Żałosne 33-

atrapy. Laura się na nie uparła — skoro ma już wykastrować swojego psa, niech chociaż z pozorów trzyma on fason samca. Jestem jej za to wdzięczny. Tyle że nie przewidziała, iż psy w prywatnych stosunkach kierują się węchem. Aja pachniałem... brakiem. Matka Laury była snobką i sama zasponsorowała sztuczne jądra. Ukłoniłbym się jej na ulicy, gdyby to nie ona była główną przyczyną mej nędzy.

Była przekonana, że Laura, jeśli tego i owego się mi nie chlaśnie, po prostu sobie nie poradzi. Zamienię się w sex bestię i ciągle będę się urywał ze smyczy, aby na bliższych i dalszych suczkach gasić swe żądze. Jak sądzę, teściowej chodziło szczególnie o te najbliższe dziewczyny. Smutna historia.

Laurę kochałem bezgranicznie, ale to nie znaczy, że ja, osiedlowy Abelard, nie miałem swojej He-loizy. Całkowicie obojętnej, bo zakochanej w swym prymitywnym, brutalnym, wycierającym wszystkie chodniki macho. Był to chart afgański, co częściowo usprawiedliwia jego „pustynny” savoir vivre. Regularnie znikał z domu. W wiadomym celu. Nazywał się Kazbek, a imię nosił po charcie afgańskim Picasso. Też pasowało. „Heloiza”, czyli Vita (Viva Las Vegas Night Dream — takie imię stało w jej metryce), charcica saluki, tłumaczyła swego afgańskiego męża tym, że charty potrzebują przestrzeni. Gdybym był odważniej szy, zacytowałbym jej słowa Hillary Clinton o Billu Clintonie: „Tego psa trudno utrzymać na werandzie”.

Na szczęście Vita od czasu do czasu traciła wrodzony chłód, godność królowej Saby i delikatność (Be duini wozili saluki na wielbłądach żeby nie poparzyły sobie łap na gorącym piasku) i wtedy się zaczynało. Wygarniała Kazbekowi wszystko.

Z ich wspólnego balkonu, położonego po sąsiedzku, wydobywały się szczeki pełne wyrzutów o nudę, resztki z wczorajszego obiadu i udawane orgazmy. Jacy oni byli piękni. On czarny i kudłaty, zdolny wypatrzeć ciemnoziłotymi oczami w kształcie migdałów każdą sukę w rui, wywąchać ją z odległości kilometra, a później wsiąść w odpowiedni autobus z przystanku pod blokiem, aby oddać się miłosnemu polowaniu. Cholerny Kazbek. Żadna mu nie odmówiła. Z wyjątkiem urażonej żony. Nawet kiedy ją błagał, nieodmiennie oczarowany jej syrenim urokiem i płową sierścią, krótką na grzbiecie, a przy uszach układającą się w loki Venus Botticellięgo. Czarny Książę i Belle de Jour (wbrew rodowodowi). Cholera z nimi!

35-

Od czasu do czasu, niczym błędny rycerz, próbowałem sprowadzić Kazbeka na właściwą drogę. Najczęściej kpił ze mnie, gdy zostawaliśmy rozdzielni zakurzonymi drzwiami autobusu. Lisi pysk za szybą z pleksi. Niekiedy szedłem w zaparte i wskakiwałem w kolejny bus jeżdżący na odpowiedniej trasie. Trochę mi się nudziło. Od czasu do czasu też musiałem zapolować na własny sposób.

— Świnia! — darłem się na Kazbeka, kiedy pojawiał się pachnący seksem i satysfakcją.

— Eee tam, junak.

— Wracaj do budy.

— He, he.

Tamtego dnia nie wiedziałem, na kogo się gapić: na Kazbeka czy znikającą właśnie w jednym z zaułków śliczną dobermankę. Popatrzyłem na te twarde i gibkie mięśnie grające pod błyszcząco gładkim futrem. Aż trudno było uwierzyć, że ta krzyżówka wyszła sto lat temu „spod ręki” Ludwika Dobermana, który — kiedy nie bawił się w psiego swata — był poborcą podatków!

Kiedy kontemplowałem o chwilę za długo to, co kontemplować przecież należało, na ulicy pojawił się patrol straży miejskiej. Doprawdy, jak my musieliśmy wyglądać w ich oczach. A raczej ja, bo charty od razu chwytają za serce, czego nie można powiedzieć 36-

o podirytowanym, zbryzganym własną śliną bloodhoundzie, który w dodatku śpiesznie wychodząc z domu, zapomniał obroży, smyczy, kagańca i dowodu osobistego Laury.

— To na razie — Kazbek nawet nie próbował się z nimi zaprzyjaźnić. Uciekł, pozostawiając mnie na — było nie było — „polu bitwy”. Nie próbowałem go gonić, żaden pies będący przy zdrowych zmysłach nie próbowałby tego zrobić. Ciało charta zadrżało, łapy oderwały się od ziemi, tułów zgiął się jak scyzoryk i tyle go widziałem. Co zaś się tyczy straży miejskiej, wiedziałem, że spróbuję ich przegadać.

Wyłądowałem w jakimś obskurnym psim komisariacie, zastanawiając się: stacja końcowa czy miejsce przesiadki? No i gdzie jest Laura?

W klatkach obok (bo zamknięto mnie w klatce, a właściwie wciśnięto, zważywszy na mój rozmiar) siedziały szczekliwe psiaki pogubione przez staruszki, będące wyzwaniem dla geriatrici, para psychopatycznych pitbulli z nielegalnej hodowli, chyba piątka labradorów, które w zabawie zgubiły koniec smyczy, zafrasowany pudel i pachnąca Kazbekiem dobermanka. Miałem na tyle rozumu, żeby jej nie pozdrawiać. Rzuciłem się do przodu, wrzeszcząc:

— Lauro! Lauro!

37-

Czy bardzo jest wściekła? Czy jeszcze mnie kocha? Czy otworzyła na swoim starym PC moją podobiznę, wydrukowała ją wraz z informacją o zaginięciu i teraz przyszpila kartki do drzew, raniąc swoje szlachetne palce? O Lauro!

Zgodziłaś się mnie wykastrować, ale nie przyszło ci na myśl, żeby wydzięgać mi na uchu identyfikacyjny tatuaż. Zaprawdę, oszczędziłaś mi bólu.

Tatuaż i psi paszport — tego wymagano przy włoskiej odprawie od zwierząt przekraczających granice. Cóż, nie dla mnie Schengen! Nie chciałaś pofrunąć do matki, licząc na to, że ona wcale nie ma ochoty porzucać Rzymu, Neapolu, Florencji czy czego tam, by odwiedzać cię regularnie na stołecznym osie-

dlu, i posłużyłaś się mną. „Mamo, nie zostawię Albrechta”. Miłość wcale nie jest ślepa! „Nie mamo, nie ma paszportu ani tatuażu”. „W hotelu dla psów? Mamo, Albrecht by się tam zanudził na śmierć”. No tak, tu nie nudziłem się wcale. Patrzyłem na psy, które wracały do swych panów. Najpierw dobermanka, w ramiona dużego i silnego (ma się rozumieć) starca, który okazał się ambasadorem i gadał po turecku. Całkiem niezłe kazanie. Pudła też już nie było, ale musiałem przysnąć, bo przegapiłem, kto i kiedy go zabrał. Po labradorki przychodzili chmurni rodzice i zapłakane dzieci. Dziarskie babcie odbierały swoje

38-

ślepe od katarakty, włochate wnuczęta. A Laura? Czy skojarzono moją nieobecność ze zniknięciem Kazbeka? Czy ten drań wróci? Mam nadzieję, że tak. Czy w ogóle ktoś mnie szuka? Gwarantuję, że w jednym jedynym miejscu bloodhound robi większe wrażenie niż chart — w autobusie! Ktoś musiał mnie widzieć! Ktoś musiał pamiętać! Kręciłem się nerwowo na każde skrzyknięcie drzwi. Wachlowałem uszami na dźwięk telefonu. Koledzy, przyjaciele, bracia — pomóżcie! Nawiązałem telepatyczny kontakt z Tofikiem i resztą. Reszta... W końcu w klatkach zostałem tylko ja i dwa socjopatyczne pitbulle. Część obsługi wyszła i przygaszono światła.

No to kanał... Raz widział ją w kościele, raz nie odskłoniła mu się na ulicy, raz na pogrzebie — własnym pogrzebie?

— Tym razem cię zamorduję, Al. — Laura zagląda do klatki. Oczy ma czerwone od płaczu.

— Choćby zaraz, kochanie — zacząłem, w jednej chwili przyjmując postawę barona Sachsa-Masocha, miał Laury widząc Wenus w futrze. Nerwowy impuls przebiegł mi po grzbiecie.

— Ja nie żartuję, Al.

— Cześć, chłopaki — szczeknąłem do pitbuli.

— Lepiej, żeby ona cię zabiła niż my — warknął jeden.

39-

Zgodziłem się z nim, ale przecież psy nie zabijają psów. Chyba że w imię wyższej konieczności.

— Buonanotte — życzyłem im. I dodałem szpetniejszemu prosto w pysk: — Morituri te salutanti! Pozdrawiają cię idący na śmierć! Możliwe, że byłem zbyt wielkim optymistą.

Nieruchomy dalmatyńczyk wyglądał jak marmurowy kuros, piękny i równie martwy co sokratejska Grecja...

Była niedziela. Obudziłem się i od niechcenia zacząłem lizać to swój brzuch, to nogi Laury. Nawet jej się spodobało. Chichotała i zaróżowiła się przez nieprzerwany hałasem budzika sen, zupełnie jakby jej stopy pieścił Daniel Craig. Ech, marzenia... W każdym razie była niedziela i spodziewałem się tylko obezwładniającej weekendowej nudy, okraszanej

pod wieczór wyczuwalnym smrodkiem stresu tych wszystkich, którzy w poniedziałek znowu mieli iść do roboty. Do wieczornych wiadomości zaś z uporem maniaka starali się zrealizować swój ścisły plan weekendowego wypoczynku. Na zdrowie. Laura, zaskakująco mądrze, w ten boży dzień chciała tylko spać, a później pluskać się w wannie. Rozbolało mnie wędzidełko pod jęzorem, ale wiedziałem, że akurat w ten dzień tygodnia trzeba mocniejszych doznań,

40-
żeby panią choć na chwilę wywalić z łóżka. Pozosta-
wiałem to proboszczowi i jego elektrycznym dzwo-
nom. Zerknąłem na zegarek — jeszcze kwadransik
i z poświęconych głośników wyniesionych do nieba na
porzuconym ramieniu budowlanego dźwigu (tak, tak)
rozlegnie się takie tubalne dzwonienie, jakby pro-
boszcz nie wzywał na mszę, a co najmniej odstraszał
legiony Czarnej Śmierci. Grzesznicy wraz ze swoimi
grzechami staną na baczość. Musiałem wtedy jedy-
nie wymusić na oszołomionej Laurze, żeby otworzy-
ła przede mną drzwi. Pronto, pronto, nim zmieni się
w wiedźmę, która będzie chciała wyrąbać ścieżkę
łaski na moim grzbiecie reklamową gazetką. Czy ja
jestem chłopcem do bicia? Czy ja jestem podobny do
proboszcza? Do któregośkolwiek z nich? Może do
Seana Connery'ego z Imienia róży?

Na zewnątrz czekał już na mnie Tofik. Niedziel-
ne spacerki traktował jak seanse komedii slapstic-
kowych, w czasie których psa do łez rozśmieszają
ludzie, próbujący w egzotyczny czy po prostu durny
sposób zagospodarować sobie czas wolny. Kiedy się
na nich patrzy, zabijających się na rowerach, gania-
jących bez tchu po kasztanowej alei, rzucających bo-
ule niczym francuscy starcy, czy wreszcie wytrzą-
sających flaki na pobliskiej górce przerobionej na
tor żużlowy, można uwierzyć, że te nagie małpy

41-
przez przypadek podbiją wreszcie Marsa. Tylko wa-
ra od Syriusza!

Tofik był na tyle nieprzyzwoity, że śmiał się nie
tylko z ludzi, ale i z innych psów. Cóż, nasz gatunek
też wydał jednego i drugiego nawiedzonego wariata.

— Jeremiasz wyszedł na spacer. Idziemy popa-
trzeć? — szepnął basset konspiracyjnie.

— Boja wiem? — A jeśli szaleństwo przenosi się
drogą kropelkową, ha?!

— Cane che abbaia non mordę — szczeknął To-
fik. — Psy, które szczekają, nie gryzą. — A ja mi-
mowolnie zacząłem się zastanawiać, w czym jeszcze
oprócz wkręcania łacińskich cytatów zacznie mnie
naśladować, aby zaakcentować nasze domniemane
podobieństwo.

— Ta sentencja nie dotyczy terierów — sprostowa-
łem. Jeremiasz zaś był terierem, a dokładniej: te-
rierem gryfikiem. Szczerze mówiąc, nie wyglądał
ani jak gryf, ani jak pies. Malutki i głośny, ze ster-

czącą gęstą brodą, która się elektryzowała Bóg wie od czego, brwiami, które w połowie opadały mu na oczy, a częściowo sterczały w niebiosa jak anteny, no... najbardziej przypominał zacietrzewionego biblijnego proroka. Tyle że jemu rola posłańca nie odpowiadała, on lubił wcielać się w samego Pana. Skąd on się urwał? Nikt nie wiedział. Kim był? Co 42-

plątało mu się tam pod czaszką, której kształt sugerował epileptyka? Kosmiczna cisza. W każdym razie miał imię, czyli był. Gdyby nie istniał, choćby dla tych niedzielnych poranków należało go wymyślić.

„Jam jest, który jest!”

— Idziesz, Al?

Przyśpieszyliśmy kroku, żeby się nie spóźnić na biblijne miotanie piorunów, które właściciela Jeremiasza, skądinąd sympatycznego młodzieńca, zamieniały w krzew gorejący, zapalony czerwienią policzków. Jeremiasz, jak każdy konus przesadnie dbający o swoje zdrowie, uważał, że świeże powietrze niechybnie go zabije. Wyciągany na spacer, najpierw macał łapą trawę, jak ktoś przed wejściem do lodowatej wody, potem zamykał wypukłe oczęta i rzucał się na to pole minowe, usadzając co swoje. Otrząsał się i zaczynał wyc! Czasem dla efektu, kiedy na zewnątrz nie było ani za ciepło, ani za zimno, ani za sucho, ani za wilgotno, przewracał się na plecy i stymulował atak godny Dostojewskiego. Zawsze zaś, niby mały wielki bóg, złorzeczył człowiekowi! Dziś wystąpił z monologiem z Genesis. „Nie będę już więcej złorzeczył ziemi ze względu na ludzi, bo usposobienie człowieka jest złe już od młodości. Przeto już nigdy nie zgładzę wszystkiego, co żyje, jak to uczyniłem”.

Oj, musiał być zmęczony. To pewnie przez ubranko. Pies w moro wygląda jeszcze gorzej niż pacyfista w moro, a właśnie taki sexi-plexi kombinezon Jeremiasz miał na sobie. Ściśle przylegający, z długimi nogawkami, iście kałesonowym otworem na pupę i niepraktycznym, moim skromnym zdaniem, zupełnie niepotrzebnym wycięciem na łeb. Jakby tego było mało, stroju dopełniał różowy szaliczek.

— Tofik, nie śmieję się z niego. Tu trzeba płakać — powiedziałem w złą godzinę, bo choć wyszliśmy w poszukiwaniu rozrywki, to czekał na nas płacz i zgrzytanie zębów.

„Dlaczego on się nie rusza?!”

Nad stygnącym ciałem dalmatyńczyka Aleksandra zebrało się niemal całe okoliczne psie towarzystwo. Założę się też, że całe psie towarzystwo wolałoby znaleźć się gdzie indziej. Był owczarek szkocki o jakże oryginalnym imieniu Lessie. Była Sybille, która tuliła się raz do mnie, raz do Tofika, bo

suchy płacz, który nią wstrząsał,
wprawiał jej pulchne ciało w ruch
wahadła. Bokser Rolf i wyjątkowo
głupi (wyjątek potwierdzający regułę o mądrości pu-
dli) kudłaty Węgier Istvan. Milczący pinczerek Kaj-
tek. Yossarian, cały blady pod sierścią. Jamniczka
Dąbrówka, charty, ruda seterka, którą pierwszy raz
widziałem na oczy. Yorki, pumi Władek, berneńczyk
Byron, chory na kulawiznę. Wyżlica Sara, maltań-
czyk, hawańczyk i bolończyk. Grzywacz chiński...
Oczywiście były i kundle. Ale mało, w końcu znajdo-
waliśmy się w najbogatszej dzielnicy miasta, w której
rasa psa świadczyła o miejskim statusie właściciela,
tak jak zegarek omega na nadgarstku. Skuczła
więc shar-peika Orchidea, która nawet nie podej-
rzewała, że jej pani kupiła ją, bo jasna sierść suczki
idealnie komponowała się z jej blond grzywą. „Uszy
jak muszelki, nos jak motylek, głowa ukształtowa-
na jak melon, twarz jak u babci, szyja jak u hipopo-
tama, zad jak u konia, nogi jak u smoka” — takie
standardy ustanowili starożytni chińscy kynolodzy,
co bardzo zaszkodziło shar-peiom, choć bynajmniej
nie w kwestii wyglądu. Po upadku dworu cesar-
skiego ich ciała na rozkaz Mao pokryły dywanem
plac Tiananmen. Raz psy, raz wróble. Czyżby zawo-
dzący gryfonik miał rację? Widziałem, jak kaukazo-
wi Benowi zbiera się na mdłości — zupełnie jakby
zapomniał, że jego wujowie na równi z zasiekami
zabezpieczali mur berliński... Psy duże i małe, mądre
i głupie, chłopcy i dziewczęta, a każdy z ogonem al-
bo choćby kikutem ogona trwożnie wciśniętym po-
między pośladki.

— Dlaczego on się nie rusza? Dlaczego on się nie
rusza? — jęczał Yossarian, który po raz kolejny
odłączywszy się od swojej pani, miał wątpliwą przy-
jemność odnaleźć zwłoki. Biedny mały. — No, zrób-
cie coś! Zróbcie!

— Zamknij pysk — warknął jakiś senior. — Bo
za chwilę zaroi się tu od ludzi.

— I co z tego? I tak w końcu przyjdą nas szukać
burknąłem. Wybitnie nie byłem w sosie.

— Zróbcie coś! Zróbcie!

— Niech ktoś odprowadzi Yossariana do domu

— szczeknąłem. — Byron, ty!

— Bo co? — Dziwny pies z tego Szwajcara, raz
serdeczny pasterz, raz kulawy diabeł made by Je-
zioro Lemańskie.

— Bo pewnie zechcą ci towarzyszyć panie. To
nie jest widok dla dam. — Trochę go ugłaskałam,
a kiedy część towarzystwa oddaliła się, podszedłem
dokonać obdukcji zwłok. Jaki on piękny, nasz Kró-
lewicz, zupełnie jakby jego matka zamówiła u wró-
żek, żeby jej syn był biały jak śnieg, czarny jak noc, no
i czerwony jak krew... Krwi nie było, a przynajmniej
tak mi się w pierwszej chwili wydawało. Dyszałem,
46-

wciągając w nozdrza zapach stęchlizny, którą podpi-
sywała się śmierć. Dalmatyńczyk wyglądał jak feral-
na ofiara wypadku drogowego. Czy jednak uderzenie
nawet potężnego pickupa zdołałoby odrzucić ciało
tak daleko od naszej częściowo betonowanej drogi, że
łukiem minęło rów i wylądowało w krzakach? Kark
psa był złamany i choć ciało w ciągu najbliższych pię-
ciu godzin zeszywnieje, to głowa przy byle dotyku
będzie upiornie przekręcać się na boki...

— Trzeba zawiadomić jego właścicieli...

— Tofik, kiedy znikniemy, przyprowadź tu swo-
jego Maklera. Narobi wrzasku, jakby spadł wskaź-
nik Dow Jonesa.

Westchnąłem i przysunąłem swój pysk, by na
kufie Aleksandra złożyć ostatni pocałunek.

— Śpij, mój książę.

Nagle mnie poraziło — krwawe wybroczyny prze-
świtujące przez rzadką sierść wokół oczodołów mówi-
ły: on został uduszony! Kark złamano post mortem.

O tempora, o mores!

— Co jest, AI?

Assassiniol — ujadała moja dusza, ale postano-
wiłem to na razie zostawić dla siebie. Czy może nie
miałem odwagi podzielić się z innymi swoim okrut-
nym spostrzeżeniem? Niedokonanie wyboru samo
w sobie jest wyborem.

Nie żebym był jakimś zazdrosnym mężem, ale...

W końcu chodziło o miskę, spacer i poduszkę.

A mówiąc krótko, stało się to, czego obawiałem się
od pewnego czasu: Laura tak długo siedziała w sie-
ci na serwisach randkowych, aż wyklikała sobie
samca. Ona wyklikała, ja będę wyklinał. Cóż, są ko-
biety, które nie potrafią żyć bez seksu, a Laura do
nich należała. Co zresztą będę jej żałował niczym
przysłowiowy pies ogrodnika? Tu chodziło o coś in-
nego niż o zazdrość. Każde pojawienie się kolejnego
faceta zaburzało delikatną równowagę w naszym
stadzie. Poczulem, że ze złości cierpną mi zęby. To
było zgoła wczesne stadium irytacji, o tak, ale kiedy
zaczynały swędzieć uszy, wtedy samo Piekło drżało
przed Albrechtem! Prawda, że ładnie powiedziane?
Prawie jakbym był starożytnym mędrcom, który
rzekł: „Glina posągu wyobrażającego Buddę musi
być wspaniale pozłocona, a kobieta pięknie ustroj-
ona”. A zamiast filozofować mógł robić coś pożytecz-
nego i dajmy na to przyglądać się pasącej krowie.
Laura zdecydowanie wybierała się na randkę.

Ubrała się, pomalowała, a co najgorsze, uprzednio
wydepilowała sobie nogi i bikini. Zastłoniłem uszy
— tak się darła pod rozgrzanym woskiem. Zastłoni-
łem oczy, kiedy zamiast w jakieś bawełniane majta-
sy, które córkom polecają wszystkie mądre matki,
48-

wcisnęła się w mikroskopijne stringi. Jak nic szyko-
wała się na upojną noc. Nabrzmiałe w konsekwen-
cje pytanie brzmiało: u nas czy u niego? Może Laura

była kobietą wyzwoloną, ale nie na tyle, aby „after” wywalić kochanka z domu i kazać mu wracać we własne pielesze. Ona chciała się jeszcze poprzytulać — ale na moim łóżku! Jakiś fagas miał spać na mojej poduszce! A ja? W łazience? Na tarasie? Doprawdy, jak sami widzicie, nie kierowała mną zazdrość — to był „spór terytorialny”. Nasze M było kawalerką, więc każda seksualna noc Laury oznaczała dla mnie garowanie w jakimś ciasnym, zimnym lub wilgotnym pomieszczeniu. Szczególnie że jej faceci, widząc moje słuszne rozmiary, nalegali, aby „odsunąć mnie od sprawy”, zupełnie jakbym był gwiazdą hard porno, a nie biednym pieskiem, który pragnie tylko zabiegać o swoją podusję. Dobrze, przyznam się, że jednego szczególnego osła (nawet nie zdjął obrączki) w kulminacyjnym momencie ugryzłem w dupę, po prostu. Zawył, a Laura, nim zaczęła chichotać i szukać plastra, miała orgazm stulecia. Ale czy ktoś to docenił? Laurze zależało na tym dwulicowym wymoczku, a jak łatwo się domyśleć, nie pojawił się już więcej w naszych gościnnych progach. Inny wypił wcześniej co nieco i zamiast dobierać się do Laury, zaczął obmacywać mnie, kiedy tylko dyskretnie wcisnąłem

49-
się pomiędzy parę... A wiecie, Laura to naprawdę potrafi być zazdrosna. Szczególnie jeśli ktoś z głupkowskim uśmiechem rozkoszy pieści zamiast niej owłosioną psią łapę. Cóż, regularne wywalanie kochanków z łóżka nie jest nadzwyczajnym dokonaniem. Zwłaszcza że metoda jest dziecinnie prosta. Laura śpi od ściany (boi się, że jeśli spuści stopę, to Potwór spod Łóżka ją jej odgryzie, ale w rzeczywistości co najwyżej może wpakować palce w zastygłą pizzę), a jej aktualny kopulator z brzegu materaca. Wystarczy zatem wepchnąć się pomiędzy Laurę a gładź gipsową, napiąć mięśnie, wyprostować łapy i... facet kończy na podłodze.

— Albrecht, co my z tobą dzisiaj zrobimy? — zapytała Laura bardziej samą siebie i trochę retorycznie, bo równocześnie sięgnęła po przedmiocik, który trochę mnie zainteresował (byłem akurat znudzony). Wyglądało to jak elektryczny nawilżacz lub trucizna na owady, które wciska się do kontaktu. Czyżby Laura poszła po rozum do głowy i postanowiła ukatrupić trutnia?

Na kartonowym opakowaniu widniał głęboko śpiący, głupkowaty pies z kreskówki. Wokół jego głowy strzelały race, a on nic, śpi... Pudełko śmierdziało.

— Feromony twojej karmiącej mamusi. — Laura poklepała mnie po głowie, kiedy tylko boleć zaskoczył w kontakcie. — Uspokoją cię.

50-
Chciałem się odgryźć, że jeśli mają mnie uspokoić tak, jak perfumy matki Laury uspokajają Laurę, to raczej niepotrzebnie się wykosztowała. Nie szczeknąłem, bo nagle zabrakło mi siły do otwarcia pyska.

Nie za bardzo pamiętam, co było dalej. Tylko trochę. Byłem dorosły, ale tego mogłem się domyśleć. Ktoś rozbił cegłę na mojej głowie. Na sercu. Na duszy. Serio. Leżałem na lewym boku i wiedziałem już, skąd wzięło się powiedzenie o kamieniu spadającym z serca. Tylko że kamień, który znalazł się w mojej klatce piersiowej, wcale nie chciał spaść. Ba, miałem wrażenie, że jeszcze moment i w ogóle przestanie się poruszać... Mamma mia! Budda: „Czas mija jak trzaśnięcie biczem”. Kurwa, czemu Laura jeszcze nie zapaliła papierosa, czemu nie zapala światła! Co za ogier jej się trafił? Życzyłem im z całych sił pęknięcia prezerwatywy! Ludzie, zróbcie coś! Byłem oszołomiony, otruty! Straciłem dziewictwo — nie licząc zżartych raz fusów po kawie, nigdy nie zaznałem używek. Pilnowałem się. Narkotyki? Nie wchodzę w to! To dla młodszych. Jak dla tego czarnego labradora spod siedemnastki... Wychowywała go para hippisów, przynajmniej dopóki nie wylądowała „za obrót” w Zamknięciu. A labrador został świadkiem koronnym. Teraz pewnie obwąchuje swoim koneserskim, głodnym ćpania

51-
nosem torby podróżnych na Okęciu, wysłuchując pogadarek politycznych:

— Co pies jeee...!!!

— Pies jeee... obrońcą naszych granic.

Pomimo Schengen.

Odpywałem. Pomyślałem o ostatecznej granicy, a później sfiksowany umysł przypomniał sobie zapiski starego francuskiego hrabiego, który w czasie oblężenia Paryża przez Prusaków musiał zjeść swojego spaniela. „Nie czuję się jak człowiek” — dał upust swej goryczy w Pamiętnikach. Spaniel w potrawce zapewne nie czuł się jak pies. Ale teraz musiałem zająć się sobą. Czyżbym umierał? Już?! Cholera jasna! LAURO!

— Sia saluto, signora...

Była przy mnie. Szarpała mnie za sztywne łapy, ale pilnowała się, aby być odwrócona tym ładniejszym profilem.

— Otrułam go! Otrułam!

Ech, czyżbym zobaczył łzę?

Jej kochanek miotał się, aby ze śmieci wyciągnąć opakowanie po truciźnie...

— Podamy ich do sądu. Niech tylko umrze... — w kolejnym, jakże rozpaczliwym przebiegu czekającej na styksową odprawę świadomości dotarło do mnie, że Laura przygruchała sobie prawnika. Pewnie

52-
będę musiał umrzeć, aby jej kochaś się wykazał. Przymknąłem oczy.

— Nie!

Co było dalej? Na drzwiach mnie ponieśli? Ciemność, ciemność widziałem, a później nic.

— Dotrzymasz mi towarzystwa? — spytałem

Tofika. Zgodził się od razu, choć początkowo nie garnał się do dalszej rozmowy. Popatrywał na mnie, a kiedy przyłapywałem jego spojrzenie, udawał, że spogląda na napuszone ptaszki i przemarznięte suczki. Nasz oddech znaczył parą powietrze — był to dla mnie namacalny znak, że żyję. Mniejsza z bólem cierpiącej łapy, z której węflony zrobiły naturalną poduszkę do igieł.

— Co? — warknąłem, bo cierpienie jakoś specjalnie mnie nie uszlachetniło.

— Ciężko było... — pisnął basset. Gdybym tylko mógł, wzruszyłbym ramionami. Ponieważ nie wyczułem pytania, uznałem, że wszystkie okoliczne psy już wiedziały, że miałem bliskie spotkanie trzeciego stopnia ze świętym Piotrem. Niezbyt mi się to

53-

podobało. Nie żebym przesadnie grał twardziela, ale byłem wstydlivy i kiedy pomyślę o tym, co zrobiono z moim bezwładnym cielskiem... Umarłem w niedzielę i urodziłem się w niedzielę. Medyczni ratownicy tak mnie wytrzęśli, wybebeszyli i przepuścili przeze mnie tyle kolorowych płynów (mam nadzieję, że nie stosowali obiegu zamkniętego), jakby w ogóle tworzyli mnie od nowa... Tyle że ja wcale nie czułem się jak nowo narodzony.

W dodatku narobiłem sobie zobowiązań u obcych, którzy w pewnych intymnych, powiedziałbym, okolicznościach przestali być dla siebie obcymi. Sebastian, ten adwokacina, został nie tylko moim osobistym kierowcą, ale spod na wpół przymkniętych powiek widziałem, jak niczym dobra mamusia mokrą gąbką przeciera mi łapy, pachy, brzuch i pupę, kierując się dalej ku końcowi ogona... Niestety nie mogłem udawać zamroczonego, kiedy mecenas Sebastian brał się do czyszczenia moich zębów — aż nos zamienił mi się w wielkie urządzenie do puszczenia mydlanych baniek. Laura w tamtym okresie była zajęta kościelną pokutą na równi z sesjami psychoanalitycznymi, które miały ją rozgrzeszyć z tego, że prawie wysłała swojego czworonożnego przyjaciela na tamten świat i to w sposób, który pośmiertnie nie gwarantowałby mu znaczka pocztowego, jaki miała Łajka.

54-

Adwokacina ujął mnie nieco, zwracając się do mego zmarnowanego psiego pyska:

— Cześć, chłopie.

Może nie widział we mnie superkonkurenta (ledwo zipałem), ale też nie eunucha. Nie obraziłem się nawet o psią leżankę na toczonych nóżkach, na którą wykosztował się w Ikei. Zignorowałem ją, razem z koroną, którą wyhaftowano na obiciu. Wszystko się zmienia, pomyślałem melancholijnie, z wyjątkiem

głupoty ludzkiej. Niedzielny spacer mój i Tofika dostarczał tych samych cotygodniowych wrażeń. Ludzie na różne sposoby próbowali okaleczyć ciała swoje i swoich pociech. W bolesnym, a jakże jałowym trudzie siódmego dnia stworzenia próbowali pozbyć się narosłego tłuszczu, kaca i pieniędzy z portfela. Do kontaktu z naturą podchodzili z taką żywiołowością, że każde najmniejsze drzewko w naszym lesie powinno czuć się zgwałcone, a każdy grzyb zbajerowany. Wszystkie orgazmy były udawane. Aż chciało się przypomnieć na głos, że słowo „taktowany” pochodzi od łacińskiego tactus, czyli dotknięcie. Ludzie, dzieci, psy, słońce — w niedzielę wszystko było jakieś rozstrojone. Z wyjątkiem dzwonów księdza proboszcza i jego hodowlanych gołębi, które fruując spirala i po kole, srały na ścieżkę bardziej umiejętnie i z większą fantazją niż Pollock na płótno... Sielanka.

55-

Mściwie (co odnotowałem z pewnym niesmakiem) zastanawiałem się: a gdyby odebrać ludziom ich beemwice, którymi podjeżdżali na sam skraj lasu, by opuściwszy skórzane siedzenia, w trykotowych gatkach oddawać się euforii weekendowego joggingu? Zabrać im karty kredytowe, komórki, hubkę i krzesiwo, sputniki i satelity, kijki treekingowe, air-niki, rowery — iw samych skarpetkach puścić do lasu... Z drugiej strony czyż nie oznaczałoby to jednoznacznego pożegnania z pełnymi miskami o określonych porach, opieką dentystyczną, subtelną eutanazją na starość, pomocą okołoporodową dla suczek, ratownikami medycznymi i miękkimi łózkami, zaopatrzonymi w równie miękkie poduszki? OK, powinienem być większym egalitarystą, pamiętać o łańcuchach, budach, wiwisekcjach, ale... egalitarystą nie byłem. Ani komunistą. Ulubionym psem Lenina była fajka zachodniosyberyjska. Dobrze że nie pies Św. Huberta... Czy gdybyśmy — goli i głodni — wrócili do lasu, to od nowa bralibyśmy się za to całe wzajemne udowianie? Czy może podzieliliśmy los dinozaurów? Pat i Pataszon, także pies pasował do człowieka. Wciągnąłem świeże powietrze i ucieszyłem się, że mieszkając na sztucznie utrzymywanych peryferiach, mogę jeszcze w miarę swobodnie przy wejściu do lasu trzasnąć kupę, nie narażając delikatności Laury,

56-

która normalnie to parujące paskudztwo musi sprzątać swymi filigranowymi palcami lalki. A propos lalek: bliżej metra pojawiły się kosze na odpadki psiej przemiany materii, na których do utrzymywania miejskiej czystości zachęca Barbie. Serio. Ciekawe, ile jeszcze godzin upłynie w rzece czasu, nim do tej czynności będzie zachęcał taki Gandhi... Wtedy osobiście nauczę się gaworzyć i robić do ceramicznego nocniczka, byle z namalowanym koteczkiem na froncie.

— AI?

Potrząsnąłem łbem. Ciekawe, jak długo będą

utrzymywały się skutki narkozy? W każdym razie wzywający mnie do rzeczywistości basset wyglądał na zaniepokojonego, aż poczułem się... Poczuję się szanowany niczym Ostatni Don.

— Albrecht! — wrzasnęli jednocześnie Tofik, Laura i Sebastian, wszyscy po swojemu. Odskokczyłem na tyle szybko, że ledwie o włos minęły mnie końskie kopyta. Koń w moim lesie? Nasze spojrzenia się spotkały — a raczej wejrzałem w odbijające moją wychudzoną sylwetkę końskie oko. Pomyśleć, że konie mają mózg wielkości orzecha laskowego. Pomyśleć, że mogliśmy wylądować w jednej stajni... Głośno wypuścił powietrze przez chrapy, a później opluł mnie, zupełnie jakby był lamą, a nie koniem. Na jego grzbiecie siedziała dziewczynka w czerwonym 57-

kostiumie do konnej jazdy, która popatrzyła na mnie triumfalnie. Zupełnie nieszczerze życzyłem jej losu Bonnie Butler.

Laura dopadła do mnie i zaczęła wycierać końskie wydzielinę higieniczną chusteczką. Dlaczego nie jedwabną, z monogramem? Dajmy na to haft „DOG” i drzewo oliwne? Laura (niekiedy z Sebastianem) chodziła za mną trop w trop — jak rozumiem po to, żebym znowu się nie wpędził (ja?!) w jakieś kłopoty. Nie pozwoliła mi nawet biegać samopas z Tofikiem. Niedzielny spacer: w pierwszej parze psy, w drugiej bodyguardzi na dwóch nogach.

— Och, Al! — zobaczyłem, że Tofik ma bardzo smutny pysk, smutny nawet jak na basseta, który zawsze wygląda jak klient wypuszczony z alkoholowego odwyku.

— Sorry. Jeszcze parę dni i to matkowanie im się znudzi. — Żeby pokazać swoją niezależność, odbiłem w bok od drogi przechodzącej w leśny dukt, nazywany „aleją starych dębów”, i z ujadaniem wpadłem na polne nieużytki. Dałem po hamulcach, kiedy zobaczyłem, że smęci się tam jakaś grupa studenciaków i coś mierzy żółtą taśmą. Czyżby nie było niedzieli?

— Niedługo nie będzie tu żadnych pomników przyrody. Wytną pewnie te dęby — usłyszałem Sebastiana.

58-

— Nie, to wszystko wolne tereny, chronione przed zabudową. Precz z developerami!

No, ja myślę. Potruchtałem jeszcze do przodu, bo zwęszyłem zapach seksownej Sary, wyżłicy. Nim zobaczyłem ją i jej ludzką rodzinę, dotarł do mnie wrzask dziecka. Sara zabrała roczniakowi piłkę, wracając go na drodze. Patrzyłem z uciechą, jak pan wyżłicy z wypiekami na twarzy tłumaczy:

— Bardzo przepraszam, ona ma taką samą w domu. Niedobry pies. Niedobry piesek — kolejny kłamczuch bez talentu.

— No, mała, piłka jest teraz po twojej stronie. Możesz ją miękko oddać, z uczuciem — szczekną-

łem do Sary.

Przyczłapał Tofik i stanął za mną, zupełnie jakby był moim cieniem.

— Co jest? Co za robal cię żre? — zapytałem Tofika. Pachniał smutkiem.

— Sybille...

— Właśnie, co u niej?

— Została otruta.

Sybille? Ta Sybille? Puszysta i okrągłutka słodka Sybille? Kędzierzawa kopia Sugar z Pół żartem, pół serio? Moja Sybille?!

Niech zagotuje się krew zbrodniarzy! Obudziły się we mnie (do diabła z rodowodem, który wszakże 59-

wymyślił człowiek) geny filii brasileiro, najbardziej krewkiego z psów. Odchyliłem głowę do tyłu i zawyłem, aż wszystkim w pięty poszło!

— Carthaginem esse delendam!

Zginie Babilon.

Kiedy czai się śmierć, ludzie (i nie tylko oni) biorą się za miłość. Dwugłowe zwierzę napędzane przez parę Eros i Tanatos. Dobry stary Freud wiedział, co pisze. W końcu miał w swej pracy idealną towarzyszkę. Właściwie to wszystkie pomysły pochodziły z jej kudłatej głowy. Nie wierzycie? Jeszcze mi nie wierzycie? A mieliście kiedyś psa? Albo spytam inaczej: byliście kiedyś u psychoanalityka? Psychologa? Psychiatry? A może zaprowadziliście tam swojego czworonoga?

Jofi, suczka chow-chow, mogła uczestniczyć we wszystkich prowadzonych przez Freuda sesjach. Doktor bardzo liczył się z jej zdaniem. Mogła leżeć pod magiczną kozetką, mogła spać w łóżku z Freudem, na co Doktor nie pozwalał własnej żonie. Jofi, towarzyszka tych wszystkich dni, tych wszystkich snów. Ach, gdyby Sybille była tak mądra jak panna J! Gdyby potrafiła być taka cięta, gryźć głęboko jak chow-chow, być nieufna wobec obcych. Ale z tą rasą łączył Sybille tylko wygląd: słodkiej, puchatej, rudej 60-

zabawki. O, nienasycona wiewióreczko! Bodajbyś w niebie miała wiele batoników, takich, od których nie małowiej sierść. A na ziemi?

Laura i Sebastian robili swoje, a ja byłem tak przybity, że nawet nie chciało mi się przeszkadzać. Zresztą po co? Poduszka była bezpieczna, pieprzyli się pod ścianą. I dobrze, że wybrali akurat ścianę nośną. Dobrze, że innej nie było. Westchnąłem, opierając łeb na łapach.

— On nigdy tak się nie zachowywał.

Ja? Chciało mi się płakać, albo przynajmniej nucić temat z Love Story. Nie, z... Maratończyka? Absolutenta? Ojca chrzestnego? Jak to zapisano w Biblii: „Ciężka jest głowa króla, który nosi koronę”. Nie byłem królem, ale mój łeb... mój łeb to był łeb! Jak stodoła. Czułem się jak w stodołę, na sianie... Ech!

Światło księżycy świeciło mi prosto w pysk tak intensywnie, że musiałem zmrużyć ślepią. Otruta Sybille, uduszony Aleksander... Kto posiał wiatr, ten zbierze burzę. Tylko kto to był, do kurwy nędzy, i po co to zrobił?

Cytując Bóg wie kogo: „Mózg ludzki posiada swój własny rozum”. A więc podejrzewałem człowieka. Kogoż by innego? Przecież nie Jeremiasza! Niestrudzeni kochankowie przetoczyli się na łóżko. Już miałem wstać, kiedy prawnik błysnął inteligencją i rzucił mi moją poduszkę. Dobra, niech

61-
będzie. Pozwoliłem łapom się rozjechać. Pozwoliłbym na wiele więcej. Pieprzony aspekt żałoby. Łatwiej płakać, niż choćby ugryźć golca w tyłek. Czekolada uszczęśliwia — zaszczypało mnie pod powiekami. Głosy, tyle głosów w mojej głowie. „Fabrizio, Don Corleone przesyła ci pozdrowienia”. Może jestem sentymentalnym głupcem, ale w o ile gorszej sytuacji są ci, którzy nie mogą tego powiedzieć o sobie. Czy nie obiecywałem mojej małej batoników? Czy nie planowałem przekonać Laury, że wściekle brakuje mi cukru albo że jest gruba i lepiej, żeby karton batonów upchnęła do szafki? Karton batonów, karton fajek, karton wina, nowa płyta Madonny — zawsze wiedziałem, kiedy jest przy forsie. I sama, bo w domu nie ma nawet jednej prezerwatywy... Sybille, wybaczyć, że nie starczyło mi czasu.

Kiedy Laura poszła po gumki, wcisnąłem się za nią, najpierw budząc protest, a później chaos. Kierowany przez boga zemsty rąbnąłem batona „Mars” i podcinając nacierające na mnie posiłki wroga, rzuciłem się w długą. Szyba aż zadygotała, kiedy uderzyłem w nią czołem, ale drzwi puściły. Biegłem

62-
przed siebie, omijając w ostatniej chwili reflektory samochodów, aż dobiegłem do pola i spojrzałem w zaskakująco jasne nocne niebo. Gdzieś migotały światła boeinga.

— Sybille! — Powiedziałem. — Sybille! — Wierście mi albo nie, spodziewałem się odpowiedzi... — Sybille, czekolada uszczęśliwia. Nie pozostało mi nic innego, jak wykopać dołek i zakopać tam batonik, licząc, że choćby jakaś jego esencja dotrze do małej... Sentymentalny głupiec? Może. Mam to gdzieś.

Powlokłem się z powrotem.

O szczęśliwy, żyłem, byłem w domu, pod brodą miałem własną poduszkę. Myślicie: czego pies może chcieć więcej? Że przypomnę — animal est anima, capiscil

Chciałem. Chciałem więcej.

Laura już nie. Laura się zmęczyła. Dym postko-
idalnej fajki drażnił mnie w nos. Cmokali na mnie,
a Sebastian nawet zagwizdał.

— Chodź do łóżka, Al.

O dziwo, żadnej rezerwacji miejsca z brzegu. Mo-
głem wejść pomiędzy ich spocone ciała. Co to znaczy,
miałem się przekonać rano, kiedy obudziłem się ob-
macany i na pół zduszony. Ale teraz chciałem się tyl-
ko przytulić. Co zrobiłem z ukontentowaniem, na
jakie stać takiego starego psa jak ja.

63-

Cóż, w pewnej chwili należało dać spokój umarłym
i zająć się całą pozostałą resztą. Waldo Emerson po-
wiedział: „Martwi mają tę jedną przewagę nad żywy-
mi, że nie muszą chodzić do dentysty”. Moim zdaniem
mają ich więcej — nie muszą na przykład jeść.

Tymczasem ja i Laura byliśmy splukani. Wpadli-
śmy w wodospad bessy, przy którym Niagara to nic
niewarty strumyczek pozostawiony na kamieniu przez
pekińczyka. Laura się gryzła, bo nie mogła gryźć nic
innego. Siedziała po nocach i o tym, że oddycha,
świadczyło tylko rozżarzające się w rytmie „mayday,
mayday” oko palonego w ciemności papierosa.

Depresja ekonomiczna dobijała, wszystko było
only cash. Depresja ekonomiczna dobijała Laurę:
czuła się stara, brzydka, niekochana i niepotrzebna.
W dodatku nie wiedziała, w jakiej kolejności. Chwa-
ła Bogu, w porę przypominała sobie, że psy nie są aż
tak doskonałe, by żywić się światłem słonecznym,
i ruszała tyłek po moje żarcie. Upadała przy tym na
cztery łapy, jak nie przymierzając... kot.

— Mam dziewięć żyć. A może siedem? — pyta-
ła lustro, wzdychając.

Czułem się w obowiązku przypomnieć, że mam
zołądek, a nie mogę w nieskończoność obżerać Tofi-
ka (bo Makler zabierze go do lekarza) ani bezpań-
skich kocurów (mniejsza z honorem, ale można dostać
64-

pazurem po mordzie). Szczeknąłem również, że Lau-
ra jest przecież właścicielką firmy PR, o jakże budu-
jącej nazwie Nahin Na. Wiecie, co to znaczy? „Nahin
Na” to po hindusku „Nie”. Cóż, Laura nigdy nie by-
ła łatwą dziewczyną. Kiedy burczałem i mruzczałem,
że niektórzy mogą ją wziąć za Ksantypę, docierała do
mnie też świadomość, że stawia mnie to w pozycji So-
kratesa. „Nie cierpię Sokratesa, który potrafi wymy-
ślać wszystko, tylko nie to, jak zaopatrzyć się w je-
dzenie” — obsmarował nasze dobre imię satyryk
Eupolis. Ale on też był martwy.

W lodówce zostały dwie puszki tuńczyka, w szafce
— psie żarcie wegetariańskie z dwucyfrowo przekro-
czonym terminem ważności. Grożono nam odłącze-
niem światła i telefonu. Laura dodatkowo dręczona
przez zespół napięcia przedmiesiączkowego zastana-
wiała się, jak wyciągnąć z apteki tampony na kreskę.

Jej popisowym numerem był skecz „Och, zapomniałam karty, a nie noszę przy sobie gotówki. Oddam te drobne jutro (albo za dwa tygodnie, bo wyjeżdżam na Florydę)”. Owe znikające grosiki często ratowały nam życie, że o humorze nie wspomnę... Cóż, na humor też trzeba móc sobie pozwolić.

Niemniej Laura musiała coś wymyślić, nim skończy się ostatnia paczka szlugów. „Biełomory” przywiezione „na pamiątkę” zamiast brązowego popiersia Wodza Rewolucji z ojcowskiej wycieczki do Leningradu. Gdyby to wszystko nie groziło utratą zdrowia i życia, byłoby nawet zabawnie.

Prawdę powiedziawszy, byliśmy goli jak bezwłosy peruwiański inca orchid, bo Laura wydała całą kasę, aby podnieść niżej podpisanego kawalera na cztery łapy. Sama zaś złamana depresją, że mnie otruła, przepuściła parę zleceń, a w dodatku obraziła tego i owego klienta, mówiąc mu właśnie dosadnie to i owo (w nerwach zupełnie nad sobą nie panuje), czyli całą prawdę i tylko prawdę...

Specjalistka od PR, która nie potrafi zapamiętać podstawowego sloganu: „Uwierz, a wszystko stanie się możliwe”. Bo tak wita się klienta zamiast standardowego „Szczęść Boże” w konkurencyjnej firmie. A swoją drogą, co znaczy „wszystko”? Może należałoby dodać erratę: „wszystko dobre”? Albo „wszystko złe dla innych, jeśli tylko dobre dla ciebie”?

I wmówić klientom, że nie tylko panujemy nad grami losowymi, ale i kontrolujemy wszelkie juju, jakie przenika nasz świat. Cóż, jeśli faktycznie panowalibyśmy, to Laura mogłaby pożyczyć pieniądze od ojca. Niestety, tata regularnie splukiwał się na totka, święcie wierząc, że złamie system zwany statystyką. Do matki natomiast Laura nie zadzwoniłaby nawet na progę śmierci głodowej (a gdzie, kurna, byliśmy?). Delikatnie rzecz ujmując, panie nie akceptowały swoich wyborów życiowych. Z wyjątkiem przygarnięcia mnie, rzecz jasna. Chciałem zaproponować Laurze, aby zawiesiła funkcjonowanie firmy (i tak staliśmy na szubienicznym szafocie), przetarła swój lepszy profil i zainteresowała się świeżą nowojorską profesją „dinner bitch”. Wcale nie nakłaniałem jej do nierządu: panny „dinner” podrywały i pozwalały sobie fundować wystawny obiad (podobno faceci lubią, jak kobieta, która nie jest osobistą żoną, dużo je), a w ramach deseru proponowały kasiastym absztyfikantom, żeby odłożyli nóż i widelec na rzecz zabawy własnym, eee, instrumentem, bo one muszą już wracać do domu. Zgrabne rozwiązanie, choć tak nieapetyczne, że należałoby je przedstawiać już po uregulowaniu rachunku. I w nogi... Laura nie lubiła biegać, odkąd zaczęła palić, a to było chyba przed tym, nim nauczyła się chodzić. Była jeszcze jedna przeszkoda: ile w naszym mieście jest restauracji przyjaznych psom? Czyżby jednak szykowały się „rzymskie wakacje u babci”?

„Żywy pies lepszy jest niż martwy lew, a ten, kto walczy i ucieka, może dożyć dnia, kiedy będzie walczyć znowu” — pakowałem tobolek w rytm dzwonów wzywających na nieszpory i wtedy właśnie Laura zgasła papierosa i usiadła do komputera. Podeszedłem

67-
do niej, aby przycisnąć cielskiem jej nogi — niech sobie myśli, że milusiński grzeje jej stopki i, do cholery (jestem zdesperowany), niech weźmie jakiegokolwiek zlecenie. Zrobimy z konopnego sznurka prezydenta. Razem!

Czy to w Biblii napisano, że pieniądze wyjaśniają wszystko? Laura pracowicie przeglądała oferty. Trochę się bałem, co jej strzeli do głowy. Raz zabrała mnie na casting reklamy — nie wiem czego, ale na pewno nie psiego żarcia. Pies reklamujący chrupki? To passe. Psy reklamują developerów, wieloródtwo i spolszczony amerykański sen jawiący się na ekranach TV. Farby olejne, podłogi, meble, jogurty, praliny... Co tylko chcecie. Byłem przekonany, że raz dwa się od tego całego cyrku wykręcę. Raz dwa się nie udało, bo Laura napasła mnie środkiem przeciwbiegunkowym. To może nienaturalne, ale poczułem się po nim jak na rauszu: przyjacielski i wyluzowany, pomimo ogromnego cielska nabrałem ruchów baletnicy. I pokochali mnie. Ci od koncepcji i ci od pieniędzy, czyli reżyser i producent. Od kompletnej kompromitacji w godzinach największej oglądalności uratowała mnie Gwiazda. Powiedziała, że ze mną nie zagra i koniec. Nie ma dyskusji. Gdybym mógł, wrzuciłbym ramionami, bo nawet mnie było wiadomo, że w ostatnim

68-
swoim filmie Gwiazda grała z tresowanymi mrówkami na dekolcie. A ja byłem większy od całego mrowia mrówek. W dodatku nie byłem ani tak pracowity, ani tak dobrze wychowany jak one. Przestraszyło się biedactwo prawdziwego ssaka... Laura była wściekła. O mało nie zapadłem się pod ziemię, kiedy wzięła się z kolei za reklamowanie mazurskich psich zaprzęgów. Najlepszy letni wypoczynek! Sanki zamiast płóz miały kółka, ale psy były jak najbardziej, hm, odpowiednie. Zaprzęgowe husky, które Laura pomyliła z malamutami. O zimnych ślepiach, które wpatrywały się we mnie przez cały czas, kiedy ona pstrykała zdjęcia do broszury, a ja grzecznie siedziałem z boku.

— Dlaczego się z nimi nie pobawisz?

Chyba nie wiedziała, dlaczego błękitnookie husky są takie szybkie, wytrzymałe i zdyscyplinowane. Wszystko za sprawą psiego przywódcy, a właściwie jego tyłka — całe to ciągnięcie sanek to efekt uboczny tego, że stado próbuje dogonić poślądki bossa i po kolei zagłębić w nim swoje zębiska. Jedno trzeba im przyznać: są przynajmniej szczerze w swoich zamiarach, inaczej niż ludzie, którzy bossa wzięliby na ręce, aby wrzucić w wilcze doły. Coś jak człowiek człowie-

kowi wilkiem.

69-

Ziewnąłem. Nic tylko pieniądze, pieniądze, pieniądze. Jakiś obrzydliwiec powiedział, że psy są największymi pasożytami człowieka. Phi!

Przeklinając i Lidyńczyków (za to, że wymyślili pieniądze), i Sokratesa („Wedle mego przekonania nie mieć potrzeb to rzecz boska”) postanowiłem wziąć sprawy we własne łapy. Laura zawsze zapisywała numer swoich chłopaków na telefonie pod „5”. Kiedy poszła topić smutki w wannie, precyzyjnie wcisnąłem odpowiedni klawisz, a później zawyłem rozdzierająco.

Zadziałało. Laura zaciągała właśnie trok szlafroka (w pasie, nie na własnej szyi), kiedy w drzwiach stańło zaopatrzenie. Sebastian plus dwie siaty pełne żarcia z nieodległego Tesco. Wypożyczoną płytę DVD z Pitbullem vege-advokacik przytrzymał gołym podbródkiem. Ucieszyłem się. W tym filmie grał Gajos, polubiłem go od czasu, kiedy szczenięciem będąc, zobaczyłem, jak w czarno-białym serialu jego rozjaśniona perhydrolem czupryna komponuje się z futrem Szarika. Teraz nie musiał się rozjaśniać, a wypchany Szarik (prawdziwe imię: Trymer z Żoliborza; wypchany na polecenie ministra kultury) zajął swój ostatni posterunek w bibliotecznym akwarium (sic!) Zakładu Psów Policyjnych w Sułkowicach. Oł, los gwiazdorów i faraonów.

70-

Na początku wszystko było dobrze. Znamy to z Biblii.

Agencja Nahin Na dostała zlecenie (i zaliczkę). Włączyli kaloryfery. Tekowy Budda nie schudł nawet o gram. Laura nadal była dla Sebastiana miła, a on nawet był lizusowaty. Miało minąć jeszcze sporo czasu nim staną się wobec siebie bierno-agresywni (on) i agresywno-agresywni (ona). Dostałem nową zabawkę do żucia — gumowego wielbłąda. Zastanawiałem się, dlaczego nie kota. Co ma wielbłąd do psa? Od czasu do czasu było nawet nudno — czyli jak podpowiada doświadczenie, dokładnie tak, jak powinno być.

Do Byrona wprowadziła się dwójka jego dzieciaków. Mali chłopcy o poetyckich imionach Mickey (od Mickiewicza) i Sly (od Słowackiego). Zora, „truskawkowa” pudliczka (nie pytajcie mnie, jaki odcień sierści to truskawkowy, a srokaty, dropiaty? Znałem kiedyś studenta weterynarii, który oblał egzamin, kiedy profesor kazał mu scharakteryzować barwę srokatą, znałem też wyżła, który opowiadał, że ma dropiatego penisa. Kazałem mu nigdy nie mówić

71-

o tym żadnej suce), wygamęła Byronowi, że jest nie-
odpowiedzialny. Jak mógł zmajstrować dzieciaki, je-
śli cierpi na kulawiznę? Odpowiedział, że tam nie ku-
leje. Wyszczekała, że tam też się liczy, bo kulawizna
to choroba genetyczna. Wysłał ją do cyrku, żeby ska-
kała przez płonące obręcze. Obraziła się, ale tylko tro-
chę. Niedługo sama miała zaplanowane „krycie” i jak
zwykle się denerwowała, jak to przed randką w ciem-
no. Mickey i Sly w każdym razie wystarczali za tuzin
szczeniaków, że o dorosłych psach nie wspomnę. Mo-
że właśnie za sprawą szczenięcej bilokacji tak późno
zorientowaliśmy się, że dwa psy z naszej ośki zaginę-
ły. Ktoś zadarł kufę i zobaczył ogłoszenia. Po tygo-
dniu roilo nam się, że ogłoszenia zamieniły się w klep-
sydry. Wiecie, co mówią w kryminalnych filmach:
jeśli zaginiony nie odnajdzie się po tygodniu, to kapli-
ca. Pierwszy rzecz po imieniu nazwał właśnie Byron
i zakazał maluchom wychodzić na dwór. Sikać na dy-
wan, póki wolno. Nie wiem, dlaczego nadciągającej
katastrofy w porę nie wywąchał Tofik. To dlatego,
usprawiedliwiał się, że jego pan kupił buty z logo za-
by. Odkąd Tofik żyje, zawsze kupował takie z sylwet-
ką basseta, bo przecież wszyscy wiedzą, że najwygod-
niejsze buty na świecie są właśnie takie... Czy on już
mnie nie kocha? Ach, te egzystencjalne niepewności!
Nie odpowiedziałem mu. Gina psy, Tofik! Gina psy!
Ludzie myślą, że psy nie wiedzą, co to umieranie.
Mylą się. My wiemy, mamy nawet własne koncepcje.
Zupełnie jak ludzie. Jeśli chodzi o śmierć, to chyba ni-
gdy tak wielu i tak długo nie zastanawiało się nad ni-
czym! Popularna jest teoria reinkarnacji, przy czym
żaden pies nie chciał odrodzić się jako człowiek. A ja-
ko kot? Psy wolą być kotami albo nawet wielbłąda-
mi. Żałują tylko, że nie będą mogły zabrać Tam
(gdziekolwiek i czymkolwiek to jest) swojej ulubionej
poduszki i miski. Generalnie metafizyczne dyskusje
kończą się fiaskiem: suczki zaczynają się mazać, psy
brać do bitki, a wszyscy razem merdać na myśl o sek-
sie... Nie inaczej było i tym razem. Trochę mnie to
zniesmaczało, ale jakże im też zazdrościłem!
Bąbel napięcia pękł i na przywiedłym trawniku
dwa bokserzy rzuciły się w wir walki. Zaalarmowani
wyciem właściciele chcieli je rozdzielić, ale nie za
dobrze im poszło. Podobnie wezwanej straży miej-
skiej. A także pielęgniarzom z karetki. Bitewny pył
długo nie opadał, zupełnie jak w superprodukcji
Gladiator. W końcu do grupy kotujących się pod-
szedł zupełnie mi obcy pies i coś tam szczeknął jed-
nemu z drugim do ucha. Posłuchały. Każdy pobiegł
do swojego opatrywanego pana lub pani. Mamo, ta-
to, to była tylko zabawa!

— Co żeś ty im powiedział? — szczeknąłem gwa-
rą do nowego.

73-

— Jak to co? „Cięcie”.

— Bardzo zabawne. — Był mieszańcem. Żad-

nym cockerpoo, nieliniejącym labradoodle czy buli boxerem. Nie, przede mną stał rasowy polski kundel. Owoc miłości, a nie planowanego krycia. — Co tu robisz?

— Wiesz, apartheid mamy już za sobą. — Nie zdążyłem się zachnąć, bo zaraz dodał: — Jakiś facet mnie podwiózł.

— Hm...

— Miły gość. Gdyby tylko przyhamował przed planowaną wysiadką...

Współczułem mu. Zgrywał się na cwanego, ale...

— Mam na imię Tramp.

— Tramp — dobrze, że nie Pepegi — masz zamiar długo tu zostać?

— Nie wiem. Szukam mocnych historii. Chcę zostać pisarzem, jak Charles Bukowski. Ale jeszcze nie teraz... A propos, słyszałem, że szaleje tu u was serial killer?

Klapnęła mi szczęka.

— To już się rozeszło?

— Pewnie.

— „Psy nie mogą wyraźnie dostrzec góry, kiedy same są w górach” — zacytowałem mnicha buddyjskiego Su Donga, rzecz jasna z jedną poprawką.

74-

— Pewnie.

I co miałem z nim zrobić? Zostawić w zapadających ciemnościach, w których czaił się morderca? Zabrać go do Laury?

— Ta Laura — zaczął Tramp — Zakochanego kundla oglądała?

— Chyba oglądała.

— To chodźmy — powiedział, ale wcale się nie ruszył.

— Co się stało?

— Bo widzisz...

Zaprowadził mnie w gęste krzaki oddzielające parking od pól i starego folwarku.

— ... Nie jestem sam.

W rozdartym zębami worku na śmieci popiskiwało żałośnie sześć (cholera, w mgnieniu oka policyłem) puchatych kuleczek, z których każda, jeśli tylko dać jej szansę, wyrośnie na wspaniałego psa. Zostałem dobrym wujkiem. Gdyby tylko udało mi się w to zrobić Tofika! Miały te swoje żaby, wszędzie żaby.

Nazajutrz po awanturze na klatce schodowej pysznił się napis: „Psy wyprowadzamy na smyczy i w kagańcu”. Najpierw zignorowaliśmy go my, a później cała reszta. C'est la vie, rzekłbym. Pracusie z naszego blokhauzu, poganiani przez banki i jednocześnie

75-

spragnieni obecności w ich życiu choć jednego ciepłego stworzenia nielecącego na kasę, marzyli o psie samosterującym. Nie tylko takim, co sam wyprowadza się na spacer, ale i myje zęby, otwiera puszkę

z karmą, a karmę podgrzewa, by później pacnąć ją do miseczki, do żołądka, miseczkę zaś do zmywarki obsługiwanej mokrym nosem. Nie obyło się wszakże bez kilku komicznych incydentów. Paru współbraci miało asystę lepszą od królowej angielskiej, kiedy pod czujnym okiem straży miejskiej kładło balaski na murawie.

Sprawa szczeniąt zbulwersowała wszystkich, choć — przykro pisać —jakieś dzikie tłumy nie garnęły się, aby zapewnić przychówkowi odpowiedzialną rodzinę. Mecenasek Sebastian, jak mniemam po trosze z dobroci serca, a po trosze, aby podliznąć się Laurze, poupychał psiaki u swoich znajomych, przez co ustanowił psią drużynę, która przeszła na utrzymanie palestry. Założę się, że maluchom do twarzy będzie w togach, a każdy, który wejdzie w czas dojrzewania, powiesi nad kojcem plakat buldoga francuskiego z Gliniarza i prokuratora, absolutnie nie przejmując się, że choć ich ideał jest srokaty i rodowodowy, to one są czarne jak diabły i pochodzą od diabełka żądy. Och, młodość! Kogo ona kocha, a kto jej nie uwielbia? Większy problem był z Trampem, który nie tylko nie wyglądał na buldoga, ale nawet ktoś ślepy od urodzenia nie wzięłyby go za oseska. Sebastian wzięł owe podstarzałe dziecko w swoje ramiona. Ucieszyło to wszystkich z wyjątkiem Tofika, który odkrył zazdrość. W końcu ani razu nie został przez Laurę wpuszczony na salony, co Trampowi zdarzało się często, ilekroć Laura i Sebastian, jałowo, acz konsekwentnie, robili to, co piesek z suką czynić powinien.

Tak oto pojawił się w naszym M dobrze zabezpieczony i rozgarnięty Sebastian, tachający welurowego jaśka dla Trampa oraz samego Trampa, a kieszeń kurtki wypychała mu paczka durexów. Nasze poduszki rzucono na wyglancowane panele, a my układaliśmy się na nich, zadkiem do tego, co proboszcz nazwałby rują i porubstwem, a czego sam unikał, trzymając na parafialnym podwórku dwa psy rasy męskiej, Placka i Wacka.

— „Ten bukiet kwiatów, który wyruszył na poszukiwanie serca, a znalazł tylko flakon” — burczał Tramp, kiedy tylko przestało mu burczeć w brzuchu.

— Bukowski? — pytałem.

— Romain Gary — odpowiadał i z westchnieniem układaliśmy pyski na łapach.

Lubiłem go, lubiłem go w całej naiwności paniczka, który wpuszcza na salony lekko utyłanego hula-kę, aby tamten był romantycznym przewodnikiem po

77-
zaułkach życia, gdzie ruletka wygrywa, bimber nie pali, a dziwki mają myszki wyskubane brazylijskim woskiem. Wiedziałem, że kiedy romans Laury i Sebastiana się skończy, stracę tego kumpla, więc postanowiłem nacieszyć się na zapas, a może i Laurze zasugerować monogamiczny związek owocujący rodziną 2+2. Niestety, Trampa trudniej było wziąć na

spytki niż umarłego. Milczał o swojej przeszłości.

— Byłeś w schronisku? — spytałem, a on zachnął się tylko. Grał cynika, ale ja widziałem pod tą wylenią, a sprytną mordą szlachetny rys skrzywdzonego idealisty.

— Lubisz Sebastiana?

— Człowiek jak człowiek.

Tu chciałem zaprotestować, bo przecież nie Marsjanin zawiązał szczeniaki w worku, ale przerwał mi pytaniem.

— A ty kochasz?

— Kogo?

— Ludzi.

Czułem, że się różowię pod sierścią na pysku.

— Laure...

Widząc moje zażenowanie, taktownie ziewnął i ułożył się do snu. Ciężki orzech do zgryzienia. Ciekawszymi w środku niż jajo z kinder niespodzianką.
78-

Włóczyliśmy się z Tofikiem po polu. Było to karłowate w ciężkiej mgle i dusznej atmosferze, jaka panowała wokół. Nie było ani jednego kota na kostropatych ruinach folwarku, któremu prosto w płaski pysk można byłoby wyszczekać frustrację, a później udać, że nie zostało się w iście boski sposób zignorowanym. Lodowate, zamrożone grudy błota pękały nam pod pazurami. Tofu był jeszcze bardziej ponury niż zwykle, zupełnie jak primabalerina, którą uciskają pointy. Albo jak była dziewczyna, która wciąż utrzymuje, że przecież byliśmy umówieni do kina.

Zazdrość zazdrością, ale, do cholery, byliśmy dorośli!

— Cieszę się, że znalazłeś dla mnie czas — burknął Tofik.

— Zawsze znajduję dla ciebie czas.

— Nieprawda. Ostatnio jesteś okropnie zajęty.

— Co ty nie powiesz...

— Najbardziej inteligentne stworzenie na świecie?

— A dajże mi spokój, Kinol! — zachnąłem się.

W gruncie rzeczy nie lubiłem zmian, a zmiany pieściły się wokół mnie jak chwasty na wiosnę. Wstrząsnąłem się z chłodu.

— Człowiek, szympans, goryl, orangutan, pawian, gibbon, małpa, wieloryb, delfin, słoń.

— Nie wiem, czy zauważyłeś, że szympans, goryl, orangutan, pawian i, zdaje się, gibbon to małpy.

— Taaa. O kant dupy potłuc te rankingi — była to zaskakująca wulgarność jak na mojego przyjaciela.

Włóczyliśmy się wzdłuż nieczynnych torów, którymi kiedyś transportowano metalowe konstrukcje metra. Teraz tory milczały, ale nie gawrony, które darły się do utraty tchu.

— Myślisz, że Tramp był w schronisku?

Stanęły mi przed oczami towarowe pociągi przecinające Dziki Zachód, do których w biegu wskakiwali włóczykije, zmuszeni liczyć się z tym, że na każdej stacji czeka na nich policjant z pałą i maszynopisem ustawy o włóczęgostwie, której nie potrafił przesylibizować.

— Pewnie był.

— Ale się nie chwali?

— Czym tu się można chwalić? Chwalić to się możesz ty albo ja.

— Schronisko... Nie wiem, czym mi to pachnie.

— Ryżem bez omasty. Budą. Kocem. Rejestracją.

— Kąpielą.

— Czyszczeniem uszu.

— Ludźmi.

80-

— Jakimi ludźmi?

— Któż to wie, Tofik. Miejmy nadzieję, że dobiymi.

— Schroniska powinny być małe, dotowane przez gminy i w jakimś miłym zakątku.

— Takim jak ten tutaj — powiedziałem bez ironii, bo jeśli coś w miarę wyglądało w taką pogodę, to las i łąka.

— Podśluchałem mojego Maklera: wstrząśnięci losem porzuconych psów, ludzie na osiedlu chcą zbudować schronisko.

— Rzeczywiście podśluchiwałeś?

— Szukają tylko kogoś z wizją.

— A teren?

— A dlaczego by nie tutaj? Developerzy mają tu zakaz wstępu, bo zaraz rezerwat, ale psy? Kto się przyczepi do piesków?

Był to temat już nie dla maklera Tofika, co raczej dla „mojego” prawnika. Ale choć Laura z Sebastianem regulamie robili Dwugłowa, który doprowadziłby do zawału pocziwego Doktora Doolittle'a, to nie wyglądało, aby ćwicząc i ćwicząc, podciągnęli się w języku zwierząt.

Nie tylko koty uwielbiają tarzać się we śnie. Psy też. Tyle że nam się nie pozwala. Świat ciągle wrzeszczy nam do ucha „czuwaj!”. Jesteśmy jak starzy wiarusi

81-

nieopodal pola bitwy, łapiemy tu i ówdzie kapeczkę rozkosznego snu, jednocześnie szeroko otwierając oczy, aby zmylić naszych panów — generałów. Gęsi kapitolinśkie uratowały Rzym (gęgając nocną porą), to czemu nie miałyby zluzować nas z roli stróżów ludzkości? Ano może dlatego, że srają gdzie popadnie, kiedy my, my...

Spałem. Oczywiście do spania najlepiej nadaje się łóżko. I podusia. Kiedy bardzo przymrozi, a Laura nie weźmie do pościeli „termofora”, można zasnąć pod kaloryferem, rojąc sobie erotycznie, że to kominek. W upały zaleca się spać pod balkonem. Pozycja też jest ważna — tylko koń wysypia się na stojąco. Można się rozciągnąć na całą długość, tworząc dla

golców oddychającą przeszkodę, albo zwinąć się w kłębek. Najlepiej jednak śpi się na plecach. Z łbem odrzuconym do tyłu, przednimi łapami złożonymi na piersi, rozluźnionym ogonem i tylnymi nogami rozrzuconymi, celem zapewnienia odpowiedniej wentylacji. Oczywiście na taki sen można pozwolić sobie tylko w absolutnie bezpiecznym i, wzięwszy pod uwagę kastracyjną bliznę przebiegającą na podbrzuszu, słynącym z dyskrecji miejscu. Hotel Ritz byłby odpowiedni, z tłoczonym kartonikiem „nie przeszkadzać” wywieszonym na złoconej gałce drzwi... Cóż, ja śpiam tak w domu. Gwarancją spokoju są moje

82-
obnażone zęby i zmarszczony nos. Przez sen przychodzi mi to niemal automatycznie, choć do repertuaru warczenia mogę sięgać coraz rzadziej. Uciałem Laure parę razy „przez sen”, co ostudziło jej miłosne zapęły. Jak śpię, to śpię. Jak kocham, to kocham. Nie jestem jakąś cholemą królową w bajkowej komie, żeby trzeba było budzić mnie cmokiem. Wara! Jak będę chciał, to zasnę i na sto lat. A przynajmniej sto minut. Łeb odrzucony do tyłu, ogon luźno, łapy rozrzucone... Cholera jasna! Człowiek nigdy niczego się nie nauczy!

Jawa zmieniła się w koszmar senny, bo oto nade mną pochylała się morda. Nawet księżniczka trolli, widząc nad sobą taką „twarz”, nie pomyślałaby o pobudce. Shrek, jakiś ty przystojny! Dobierało się do mnie urodzone w czterdziestym roku życia dziecko Skawińskiego i Chylińskiej! Dziesięć w skali Apgar za łysinę, nieogoloną brodę i pajacowate okulary przeciwsłoneczne. Za koszulkę z bykiem, z której obscenicznie wylaniał się byczy, purpurowy kark. Dech mi zaparło i w pierwszej chwili zapomniałem nawet, jak się warchy. Co jest grane? „Toto, nie jesteśmy już w Teksasie”, jak mówiła Dorotka do swojego pieska w Krainie Oz, a przecież przysięgłbym, że ledwie przed godziną ułożyłem się do snu na mojej własnej poduszce, na mojej własnej podłodze we własnym mieszkaniu!

83-
— Nie lubi, kiedy się go budzi — usłyszałem głos Laury.

Jeśli to jest jej nowy absztyfikant, to odchodzę!
Na razie cofałem się rakiem przed ziejącą mordą, aż uderzyłem zadkiem w znajomy regał na książki, co upewniło mnie, że jednak jestem u siebie.

— Psy mnie uwielbiają — mamrotała morda, prezentując upiorną minę z rodzaju „chodź na koci, koci łapki”.

Oszukuj się dalej, frajerze. Zagrał we mnie duch bojowy i Chapmanem monstrem w rękę.
Wrzasnął jak rasowy masochista, kapiąc krwią na panele.

— Nic się nie stało! Przestraszyłem go. Dobry piesek... — Choć głos sugerował współczucie, że oto ja, piesek, odrzuciłem swojego mesjasza, czy faceta

mówiły, że przewidywał dla mnie w najbliższej przyszłości rozrywkę w rodzaju łamania kołem. Laura zajęta szukaniem przeterminowanej wody utlenionej, jakby tego nie widziała. Zbierało mi się na płacz.

— Niedoczekanie twoje, frajerze! — zaszczekałem, walcząc z własnymi namiętnościami.

— A może jest chory? Może go coś boli? A może to w ogóle nie jest pies? Wszystkie psy mnie kochają. Pieprzony mitoman, śmierdzący tanią wodą po goleniu i frustracją. Postanowiłem obrazić się śmiertelnie.

84-
Na Laurę, bo gniewanie się na tego buca było poniżej mojego honoru i urodzenia.

— Jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś wpuścić kogoś takiego do naszej ostoi? — zawyłem, kiedy buca wywiało, a krew z podłogi została zmyta.

— Przepraszam, Al. Przestraszył cię...

— Trzeba mu było przyciąć ryj, Lauro.

Nie mogła. Oto bowiem miałem niewątpliwą nieprzyjemność poznać jednego z jej klientów — Witolda Pryzę. Tak, robiła temu gnojowi PR, a on — niestety i poniekąd — płacił za moją karmę i jej papierosy. Miał hurtownię spinaczy biurowych i otwierał gazetę o profilu, uwaga, psy. Przedsięwzięcie non profit! Anioł, nie monstrum. Pośrednik w adopcjach i planowanych kryciach! Dorobił się na zszywaniu stert papieru, przez które to sterty giną lasy amazońskie, i teraz postanowił odpokutować swój majątek, a że południowoamerykańskie kapibary były za daleko, chciał pomóc polskim psom! Na osiedlu nie ma schroniska, więc sfinansuje schronisko! I miskę zupy dla każdej przybłądy. Patrzyłem na Laurę i gdyby było to technicznie możliwe, przecierałbym łapami oczy ze zdumienia.

— Tofik! — rozdarłem się. — Gdzie jest mój consigliere, jak go potrzebuję!

85-

Przed snem liczę owce. Dobrze, że jestem bloodhoundem, a nie owczarkiem podhalańskim, bo w ramach „terapii” nabawiłbym się schorzenia gorszego od bezsenności. Co nie znaczy, że bezsenność jest dobra. Nawet ta dzielona z Laurą.

Laura już zbyt długo zastanawia się, jak powiedzieć Pryzie, że jest kretynem. Mitoman to zbyt wyrafinowane słowo. Określenie „kretyn z pieniędzmi” dla nas obojga jest bolesne. Laura zostawi to zlecenie czy nie? Pryza nabił sobie głowę (a było w niej sporo pustego miejsca) mrzonkami o napisaniu autobiografii — Pamiętniki dobrego przedsiębiorcy. To znaczy Laura miałaaby ją wystukać na komputerze, wywołując z zaświatów widmo literackiego murzynka. I o czym tu pisać? „O wielkim sercu” Pryzy, rzecz jasna. A w erracie należałoby ująć jego zdolności do zmuszania pracowników, aby za wdowie grosze wypacali z siebie siódme poty, kiedy Pryza, który zwariował już na tyle, że każe się nazywać nie Prezesem Firmy, a Prezydentem,

uzupełnia kolekcję dużych czterokołowych zabawek.
— Srebrny? Srebnego już mam. Potrzebuję czarnego. Bordo? Co mi pan sugeruje, że wsiadłbym w taką kupę na kółkach? Jak to nie ma? To sprwadźcie! A tapicerka? Nie. Nie. Ma być włoska skóra. Weźże się pan za robotę! — wrzeszczy przez telefon na swojego dealera.

86-

Jeszcze trochę i to ja ruszę tyłek, żeby nasrać mu na buty. Satisfakcja. „Bo jestem tego wart”. I Laura jest. Laura się gryzie i Tofik też. Miał przygodną przygodę, czyli jak zwykle.

— Chcieli mnie zamknąć w słoiku. Zupełnie jak stonkę z amerykańskich zrzutów — drżał cały.

— Chcieli zamknąć nie ciebie, a twoją kupę. I nie w słoiku, a w papierowej torbie.

— Och, zawsze się od tego zaczyna! A czy kupa nie jest mną? — szarżował, rzekłbym, filozoficznie.

— Czy nie jest mną choć przez chwilę?

Ruszyła wielka społeczna akcja oczyszczania miasta, żeby przezimowany kompost nie zadusił Warszawy na wiosnę. Późną jesienią myśleć o wiośnie? Z ludzi to jednak są optymiści. Znudzeni optymiści. „Świat ciągle się zmienia, a życie jest jedynie przedstawieniem”, jak mawiał cesarz Marek Aureliusz, kiedy jeszcze mógł. Dziesiątki barbarzyńców napało na nasze synedrium — trawnik, czyli miejsce spotkania z ulgą. W dodatku z pieśnią na ustach! I robili pamiątkowe zdjęcia ruin! Jeszcze nigdy pies z rozstrojem żołądka, a później nerwów nie został tak dokładnie sfotografowany jak biedny Tofik. Mam nadzieję, że nie da się fotkami szantażować, choć możliwe, że zostanie gwiazdą kolejnej edycji miejskiego happeningu „Sprzątnij psią kupę” i wyląduje

87-

na koszulkach, jak, nie przymierzając, w Ameryce seryjny morderca na t-shirtach sprzedawanych przed gmachem sądu. Cóż, na takim happeningu Tofik nie będzie happy.

— Szybciej bym wrócił do domu... — wstydził się. — Ale zestresowali mnie, a mój żołądek jest taki nerwowy.

Chcieli basseta zamknąć w słoiku i wyrzucić klucz.

— Cholera — martwił się nadal. — Taki t-shirt to jednak nie to samo co wygodne buty. Nie chcę być logo kupy!

— Wielki Kinol, wyluzuj — próbowałem go pocieszyć. — Żaden z ciebie amant.

Tym razem był skłonny się zgodzić.

— Ale Al, czy oni szukają amanta?

Popatrzyłem na utyłtany w błocie znaczek akcji, którym ktoś nie trafił do przydomowego kosza na śmieci. Pysk mi się rozchmurzył. Mały ludzik w przykłęku wyglądał, jakby oddawał honory odwróconemu doń tyłem terierowi. Jest więc jakaś sprawiedliwość.

— Nie lubię terierów — zauważył Tofu — są

szczekliwie. I gryzą. Och, Al — dodał — czułem się jak pan K. No wiesz, Franz Kafka. Poleciałem mu zmianę lektur i lekkie posiłki. Ucieszył się z rady i zeżarł gazetę — z frustracji albo czystej złości.

88-

— Czy wiesz — nawet odbijało mu się lekko farbą drukarską — że w Warszawie pojawia się trzydzieści ton kup dziennie? A sześćdziesiąt procent psów jest nosicielami toksokar? Jesteśmy mordercami — ostatni posiłek pomieszał mu w głowie.

— Tofik, poczytaj Dziennik geniusza Dalego. Ten facet z defekacji zrobił dzieło sztuki.

— To ludzie tak mogą?

— Wszystko mogą.

Całe szczęście tym razem Tofu zdecydował się po prostu pooglądać Disneya na kablówce. Jego pan był przekonany, że basset połknął pilota. W każdym razie kreskówki i odrobina złośliwości podziałały na Kinola jak balsam.

— Czy wiesz, że Goofy to bloodhound? I Pluto tak samo.

— Stary, niemożliwe.

— Oczywiście, że tak, Al. Dokładnie się przyjrzałem.

A co ze mną? Leżę na pustym łóżku i liczę owce. Czarne barany. Stonki i bobki.

Wacek i Placek, skundlone wilczury, leżały na podwórku probostwa i głośno dyszały. Były zadowolone.

89-

— Ave — szczechnąłem do nich. Podeszedłem do masywnej bramy, która dzieliła naszą świecką ziemię od kościelnej. Też ziałem. Było gorąco, zdecydowanie zbyt gorąco jak na tę porę roku, szczególnie że zdążyłem już przekręcić swój wewnętrzny termostat na czas zimowy. Gdyby to było możliwe, oparłbym swój skołowany łeb na szczeblach furty, ale wiedziałem, że brama w ogóle nie jest zamknięta, tylko taką udaje, Wacek i Placek zaś ortodoksyjnie podchodzili do podziału gruntu na „nasz i wasz”. Zachowywali się tak, jakby urodzili się w Watykanie, a nie w podstolicznych Zielkach, gdzie mieszkała mama osiedlowego Pasterza Dusz. Zagorzałego i upierdliwego, ze swoją elektroniczną dzwonnica, która na równi z przelatującymi samolotami burzyła nam spokój wieczorem i o poranku.

— I co wy na to powiecie?

— Na co? — pierwszy odezwał się Wacek. Zawsze odzywał się pierwszy. W imię starszeństwa, wszakże był ojcem Placka. Co złośliwsze psy nazywały wilczą parę gejami, ale to było niemożliwe. Wacek i Placek, w akcie iście neofickiej cenzury, zżarły swego czasu proboszczowi dzieła Freuda, w tym traktującą o kazi-

rodztwie pracę Tabu i totem. Byłyby z nich idealne psy Savonaroli. Aż chciałem sprawdzić ich umiejętność 90-

łaciny i wyszczebrać kanonicznego Tertuliana: „Credo quia absurdum” — „Wierzę, bo to niedorzeczne”.

— Na te wszystkie zaginięcia — uściśliłem Wackowi. Placek przeżuwał białe gołębie pióro, które przykleiło mu się do pyska. Proboszcz miał gołębnik pełen ptaków wypasionych jak świąteczne kury. Miały być — z nazwy — gołębiami pocztowymi. W istocie ptaszyska rozleniwiły się tak bardzo, że aby wykazać się jakąś inicjatywą w sprawie lotu, domowe wilki musiały je nieźle pogonić. Gdyby Noe natrafił na gołębicę tego chowu, wciąż garowałby na swojej arce.

— Psy gubią się i wracają.

— Chyba że je ktoś zamorduje.

— Wszystko w rękach Pana.

— Modlimy się za naszych braci — dodał Placek i wznosił żółte oczy do nieba. Czystego, bez jednego gołębia.

— A co na to proboszcz?

— Pilnuje nas bardziej — rzekł Wacek.

— I zwiększył racje żywnościowe — dodał Placek.

Aha, za chwilę nie będzie kto miał gonić gołębi, chyba że sam pan tego domostwa.

— Tu mieszkają same przyzwoite psy — rzekł Placek, wyjątkowo rozsądnie jak na kogoś, kto będąc szczeniakiem, wychłęptał zapas mszalnego wina, co zahamowało wzrost jego szarych komórek, jak i całej reszty. Nie starając się zbytnio, mógł przejść Wackowi pod brzuchem.

— Oby tak było — powiedziałem.

— Amen — skwitował Wacek, a ja poczułem się uwznioślony.

— Gdyby wam się coś obito o uszy...

— Jeśli nie będzie to tajemnica spowiedzi...

Westchnienie zawisło mi u pyska.

— A jak tam niedziela?

— Rekolekcyjna — znowu zaczęły dyszeć jak dwa zsynchronizowane dobrym uczynkiem miechy.

— Pogoniliśmy obcych — dodał głuchy na ekumenizm Wacek.

— Oj, pogoniliśmy — morda Placka jaśniała ogniem przekonań, zaproszonych gdzieś u progu Dziecięcej Krucjaty. — Byczo było.

— Aha — szczeniakiem grzecznie. Gdyby te psy były bardziej rozgarnięte... Tyle mógłbym się dowiedzieć. Tkwiły przecież w papistowskim pępku świata, w dodatku na górcie, z której jak z Synaju rozciągał się widok na nasz mały Kanaan. No i stróżowały w nocy, kiedy psy z blokhauzu spały. Pastarze nasi.

Mając krasny widok na niedzielną psią szkółkę, która ulokowała się na łące tuż za probostwem, mogły przepytwać psy z innych dzielnic (na okoliczność 92-

dziwnych zdarzeń w ich kwartale miasta). Jednak Wacek i Placek woleli z ujadaniem przekraczać nie-
domkniętą bramę i siać postrach w szeregach szczeniąt i psich leserów, przybyłych tu ze swoimi pańciami na lekcje oglądy. Szkolenie na posłuszeństwo rozpoczęło się o dziewiątej rano, w co drugą niedzielę. O dziewiątej rozpoczynała się msza. Ergo: kto był ze swoim psem w szkole, zamiast wciskać się w klęcznik, grzeszył, nawet jeśli był ateistą. Skoro zaś ludzie byli poza zasięgiem Ojca i Syna, to Wacek i Placek, szczerząc kły, siali nabożne przerażenie w szeregach ich pupili.

— Umbilicus Telluris — wyszeptalem, co zna-
czyło Pępek Świata, bo oto zobaczyłem, że po łące kroczy moja pustynna królowa. Moje życie i moja dusza — Vita. Od razu usłużna pamięć podsunęła mi pod pysk zapładniające obrazy. Ten zabójczy pieprzyk na piersi, przebijający się cieniem przez sierść przypominającą mgłę, delikatną jak pajęczyna, subtelna jak jedwab.

Ośmieliłem się kiedyś powiedzieć Vicie:

— Masz, futerko jak sierść fenka w czasie pełni księżyca.

— My, saluki, zjadamy fenki — odpowiedziała mi i... I to było na tyle.

Placek niebezpiecznie wywalił gały na spacerującą boginię, ale natychmiast ojciec szarpnął go zębami za ucho, warcząc:

93-

— Celibat.

Ech, ona nie dla nas, chłopaki.

— Hej, hej, Vita! Tutaj! Cześć! — rozszczekałem się jak kretyn, który dopiero co urwał się z matczy-
nego sutka. A tu nagle stał się cud. Vita biegła w naszą stronę.

Była... wściekła. To znaczy zdenerwowana. Czuję bijące od niej gorąco, a może to mnie tak gwałtownie skoczyło ciśnienie?

— Prezydent Czeczenii, Ramzan Kadyrow, wezwał mężczyzn do poligamii! — wyszczeła Vita wysokim tonem.

Choć bardzo się starałem zrozumieć, opadła mi szczęka.

— Faceci! — jazgotała charcica. — Nic nie rozumiecie!

— Nie — zgodził się mało przytomnie Placek.

— Och, Al — Vita spojrzała wprost na mnie. Nie zrobiłem się od tego ani o gram mądrzejszy, a wręcz przeciwnie. — Naprawdę nie rozumiesz? Najpierw Czeczenia, później Afganistan.

— Tak — szczechnął Placek.

— Nie! Nie zgodzę się w moim domu na żadną inną sukę! — zawarczała, a ja panicznie próbowa-
łem sobie przypomnieć wszystko, co wiem o okrutnym maktub — prawie pustyni.

94-

Basta! To musi się skończyć. Do morderstwa nie

można się przyzwyczaić (choć próbowałem, głowę daję, że próbowałem), a już na pewno nie do morderstwa w promocyjnym pakiecie, który korzystając z jedności czasu i przestrzeni, porzuca na leśnej łące aż trzy ciała. I to jakie. Charcic angielskich — podziwianych, choć nieco autystycznych bliźniaczek, które flegmatycznie ignorowały świat, odpłacający im za tę obojętność pasją uwielbienia. Nasze czarodziejki, do których niejedyn pies skuczał, a o których niejedna suka syczała: „Anorektyczki, phy”, mieszkaly na posesji tuż obok tysiącletniego dębu „Mieszko”. To towarzystwo tylko dodawało im uroku i tajemnicy. Bóg wie, co czyniły nasze angielski podczas snu nocy letniej. Zamordowane hurtowo w porze prawie zimowej. Dąb trzysta lat dorasta, trzysta lat stoi później w sile wieku, przez kolejne trzysta umiera. Nasze dziewczyny — kiedy wszelkimi zmysłami zbadałem ich księżycowe ciała, mógłbym to przysiąc — zginęły w jednej minucie. Udużone przez sześciorekiego, morderczego demona. Przez szybkiego potwora. Jovanka, suczka, która z byle powodu gryzła. Janina, która mdlała. Józefina, o której nic nie dało się powiedzieć, poza tym że jest fizyczną kopią swoich bliźniaczek. — Animula vagula, blandula — zacząłem, ale Byron kazał mi się zamknąć, bo to jego dzieciaki, 95-

z oporami wypuszczone na spacer, znalazły trupy. Jak martwe, oszronione liście leżące w zagajniku.

— Boję się — wymamrotał Tofik, odbierając kwestię tchórzliwej wyżnicy Sarze.

— Pieprzę to i się wyprowadzam — rzekł ktoś inny, zupełnie jakby to od niego zależało.

— Al, zrób coś — miękkim głosem zaszczekała saluki, moja femme fatale. — Czuję, że będę następna.

— Histeryczka — stwierdziła pudlica Zora, która będąc w zaawansowanej ciąży, krytykowała wszystkie dziewice i bezdzietne mężatki.

— Muszę pomyśleć — odchrząknąłem. Psy patrzyły na mnie i choć w naszym przypadku to przecieź niemożliwe bez odpowiednich gruczołów, czułem, że się pocę.

„Animula vagula, blandula. Duszyczko moja tkliwa i ruchliwa, gościu ty ciała mojego i družko, co pójdziesz teraz w krainie ciemności, twarde i nagie, i pełne bladeści, a żartów zwykłych stroić już nie będziesz” — trzykrotnie moje myśli przecięły słowa cesarza Hadriana... Udało mi się stłumić nerwowy śmiech, tak że przeszedł w czkawkę smakującą wczorajszym kurczakiem.

— Zrób coś! Zrób coś! Zrób coś! — Dla moich współbraci byłem zupełnie jak Rzym, wszystkie ścieżki przerażonych pielgrzymów prowadziły do mnie! Żebym chociaż otrzymał za to jakąś dietę i samochód z kierowcą.

Poszedłem jeszcze raz na miejsce zbrodni, żeby zorientować się, czy czegoś nie przeoczyłem, a raczej

nie wywęszyłem. Pachniało strachem, zgniłą słodyczą i malutkimi zwierzątkami bobrującymi w swoich podziemnych jamkach. Pachniało psami — widać nie tylko ludzie lubią zażywać wycieczek do miejsc upiornych, w poszukiwaniu katharsis albo chociaż spłachetka zieleni, na której można zjeść piknikową kanapkę z jajkiem na twardo. Ciało bliźniaczek już nie było, ale słaba trawa nie mogła się podnieść w miejscach, gdzie je złożono. Złożono, bo byłem pewien, że nie tu zostały zamordowane. Zabito je, a ciała z jakiegoś powodu celowo porzucono na tym uczęszczanym przez ludzi i psy szlaku. Chodziło więc o to, żeby zwłoki znaleźć w miarę szybko. Po co? Dlaczego? Zabito siostry gdzie indziej, przeniesiono tutaj... Zabójstwo trzech gracji też nie było chyba przypadkowe — tylko raptowny koniec J&J&J mógł tak wstrząsnąć towarzystwem. Czy to nie oznaczało, że mordercą był jednak inny pies? A może jakiś pies znający okoliczne plotki był szpiegiem mordercy? Ale kto w dzisiejszych czasach nie zna plot? Zupełnie jak w biurze projektów Chmielewskiej — wszyscy byliśmy podejrzeni. Niestety, między bajki dla kłamliwych szczeniąt można było włożyć historię o wielorękich demonach i szybkich diabłach, choć pozbywałem jej się z trudem... W końcu baśń bezpiecznie wyklucza okrutną rzeczywistość. Moim zdaniem suki najpierw uszono, a później uduszono, stąd identyczne postępy rigor mortis. Czym je uszono? Nie miałem pojęcia! Ale na pewno nie usnęły za sprawą zatrutego jabłka. Gdybym mógł uczestniczyć w sekcji! Wczuć się w martwe cielesne humory, amalgamaty limfy, krew, upuszczony mocz, którego nawet kropla nie rosiła trawy, co było kolejnym dowodem na to, że panny zabito gdzie indziej. Cała nadzieja w... człowieku. Ich panu — starcu o twarzy smutnego błazna i okularach grubych jak denka szklanek. Wierzyłem, że pomimo spokojnej fizjonomii obudzi w sobie lwa i będzie próbował odkryć, kto zabił Jovankę, Janinę, Józefinę. A może inaczej... Morderca czy mordercy należeli do rasy ludzi, więc w gruncie rzeczy ich interesy musiały być ludzkie. Jeśli pomagierem zaś był pies, to co nim kierowało: strach czy wierność? Rozbolał mnie koniec nosa! Powachlowałem się uszami i doszedłem do

98-

sromotnego wniosku, że jedynymi postaciami, przed którymi nie ukryjesz istoty i okoliczności śmierci, były siostrzyczki. Animula vagula, blandula. Czyżbym miał wywołać ich duchy? Iść do kopniętego Jeremiasza, jak Saul do wiedźmy z Endor? Ale przecież Saul przegrał bitwę! Ja zaś byłem, no... Superdog! — Jesteś baranem — powiedział Jeremiasz, czupurno-paskudny i okrutnie nawiedzony terier gry-

fik, kiedy przedstawiłem mu swój plan wywoływania duchów J&J&J. Rzecz jasna, w swej pysze proroka samozwańca nie był zdziwiony, że zwracam się z tym do niego, bo i do kogo innego miałbym się zwrócić? Nie było w całej okolicy nikogo innego dość nawiedzzonego i szalonego, aby rozmawiać z żywymi czy urojonymi duchami, bogami, ufoludkami, Elvisem Presleyem...

— Jestem psem — sprostowałem uprzejmie. Towarzyszający nam Tofu przytaknął niemym, acz teatralnym kiwnięciem głowy.

— Byłeś.

Nie zamierzałem się z nim klócić. I tak był trudny. Westchnął.

— Musisz zjeść wilczą jagodę — sprzedał mi receptę. Gdybym istotnie miał trzecie oko, ze zdumienia wyskoczyłoby mi z orbity. Zmarszczyłem nos.

99-

— Przecież to jest trujące — szcęknął Tofik.

— I o to chodzi.

— No nie wiem — powiedzieliśmy równocześnie z bassetem.

— To po co tu przyleźliście i przerwaliście mi sikanie? — Miał iście biblijne problemy z prostatą. — Zjesz jagody i doznasz wizji zaświatów.

— Oby już nie na stałe.

— Oprócz jagód musisz najeść się nietoperzych bobków.

Uprzejmie mu podziękowałem, jeszcze chwila i kto wie, co wymyśli.

— Łapa potwierdza gwiazdy — rzekł Jeremiasz, cokolwiek to miało znaczyć.

— Zjesz wilczą jagodę? — upewniał się Tofik, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. Taki jest problem z byciem podwórkowym superbohaterem — trzeba ratować te wszystkie księżniczki i znosić to, że pewien basset wpatruje się w ciebie jak w gadająco-płaczący obraz.

— No. — Czyż stare przekazy nie mówiły, że wilk może zjadać wilcze jagody i nic? To znaczy: żyje. W końcu z jakiegoś powodu tak nazwano ten diaboliczny owoc. Zastanawiałem się, ile pokoleń dzieli mnie od dzikiego krewniaka? A kod genetyczny? Czy jestem tak podobny do wilka jak człowiek do

100-

szympansa albo adwokacik Laury do ryjówki? Wkrótce miałem się przekonać. O ile o tej porze roku znajdę te jagody... W razie czego, licząc na siłę placebo, postanowiłem nażreć się czegokolwiek. W tym prześmyśleniu utwierdził mnie gęsty i lodowaty jesienny deszcz, którym nagle wrzasnęło niebo. Tofik i inni grzali już swoje dupski na kolanach własnych goliców, a ja jak parias tułałem się po lesie. Starłem się pamiętać o tym, że w starożytnym Rzymie cesarz zawsze marzył — miał „przywilej” chodzenia wyłącznie w todzie! Jedna jagoda, dwie jagody, żadnej jagody.

Grzyb, a dokładniej psinka, psi grzybek o obscenicznym kształcie, figlarnie wyrósł na mojej ścieżce.

I jeszcze jeden, o tutaj... Zjadłem to, co było. Skoro wilk może jagodę, to ja...

To musi mieć jakąś odtrutkę! Wszystko ma odtrutkę! Odtrutką na życie jest śmierć! Czułem się, jakby ktoś wziął mój łeb, czyli czerep, i wsadził go do wiadra z wodą, tylko zamiast wody była krew. O mamusiu! O ciepło twoich zaginionych sutków! Lauro! Ja tonę. Topią mnie! Oddajcie mi moją inteligencję — mózg jak żabi skrzek wpadł do krwi i machając, odpłynął do morza. Jestem rybą. Jestem grzybem. Kim jesteś? — zapytałem gąsienicę. Teraz? — odpowiedziała Alicja. Jestem psem! Jestem

101-
głodny! Jestem psem. Mogłem być karłem albo wszechświatem. Gorączkuję. Sromota sromotnika. Trzeba było zjeść nietoperze bobki. Dosięgnęłem dna, dna wiadra. Widzę trójgłowego psa. To Cerber, Strażnik Podziemi. To już? Umieram. Nie? Nie, to nie Cerber. To trójgłowa suka. Patrzą na mnie wąskie łby Jovanki, Janiny, Józefiny. Dziewczynki? Któraś z nich otwiera paszczę (paszczę?!) i ryczy na mnie jak lew z czołówki MGM.

— Co robił Darryl Zanuck, nim zaczął produkować superfilmy? — zadaje śmiertelne pytanie cerberosfinks.

Nie wiem. Czuję, że w lesie podnosi się mgła. Jakiś obłok mnie dotyka. Rudy duszek. Gruba wieiórka. Och... To Sybille. Ruda spanielka kiwa głową i szepcze. Mówię: och...

— Pisał scenariusze dla psa Rin Tin Tina. — Tak. Brałem udział i wygrałem. A teraz jestem niedysponowany. Czekolada dobrze mi robi. Czekolada uszczęśliwia.

Czułem się jak czworonożny Harry Angel. Bez paniki, powtarzałem sobie. I nie mogłem uwierzyć w te osobiste zapewnienia, bo oto dotarła do mnie cała prawda: moje ciało, wierny pies każdego psa, zbuntowało się przeciwko mnie.

102-

— Ci, którzy mnie nie słuchają, sami sobie są winni — powiedział Jeremiasz. Oklepana fraza proroków. Choć znałem bardziej denerwujące: „Cesarz i armia mają się dobrze”, odczytywana na otwarcie posiedzenia starorzymskiego Senatu, nawet jeśli Augustus właśnie walnął w kalendarz, a legiony brały bęcki od Galów. Trzeba było dopiero mojego ulubionego cesarza Hadriana, żeby ten nakazał heroldowi przestać się wydurniać.

— Należało zjeść te bobki, Habsburska Wargo — powiedział Tofik.

— Do takich rad nie jest mi potrzebny consigliere — warknąłem.

— E tam.

— Dobro i zło jest sprawą nawyku — Jeremiasz

dostał metafizycznej sraczki, kiedy ja próbowałem usadzić swoje rozchwiane ciało astralne w worku trzewi. Wciąż przed oczami latały mi mroczki — gdyby nie to, wcześniej zauważyłbym, że oba psy na jednej przedniej łapie mają zawiązany czerwony sznurek.

— A co to?

— Znak — rzekł konspiracyjnie Tofik. — Założyliśmy zakon.

— Kto?

— Wszyscy.

— Tak?

103-

— Ordinis. Jeżeli chcesz, możesz zostać jego so-
ciusem et amicumem.

Grzyby grzybami, ale tak rąbana łacina mogła zabić.

— Sprzymierzeńcem i przyjacielem.

— Właśnie.

— A jeśli chciałbym doń wstąpić? — zapytałem chytrze.

— Tylko najdzielniejsze psy mają wstęp do Łoży Zakonu.

— Przecież powiedziałeś dopiero co, że do Ordinis należą wszyscy!

— Ty nie.

—Aaa... I kto to wymyślił? Genialny Wielki Kinol!

— Przynajmniej staram się coś robić, kiedy ty ćpasz ukradkiem po lesie.

— I ty Brutusie przeciwko mnie!

— Tramp też się nie zapisał. Ale czego oczekiwać od kundla.

— Pewnie go nie stać na składkę!

— My walczymy ze złem i identyfikujemy je. Koniec z zabójstwami na naszym podwórku.

— Lepiej by było zidentyfikować, a potem walczyć — rzekłem gorzko. — A macie w swoich szeregach mopsa?

— No.

104-

— To dobrze. Bo masonki (przyjmujecie oczywiście suki, zdrajcy!) musiały w akcie wierności wspólnocie całować pod ogon woskową figurkę mopsika. Odmaszerowałem. Te psy kompletnie zwariowały! Trzeba zatrzaskać drzwi świątyni Janusa, bo oto na własnych śmieciach czekała mnie wojna. Ale najpierw musiałem się wyspać. A może byłem dla nich zbyt surowy? Tchnienie śmierci i wizja własnego ciała upchniętego w czarnym worku może bardziej przewrócić w głowie niż trafiona szóstka w totka. Szczególnie że śmierć i bez grasującego seryjnego mordercy jest bardziej prawdopodobna. Ordynarna Ordinis! I pewnie za moment wymyślą istic „kocie” orgie. Bo czy tak nie robią wszystkie ssaki? Kiedy zeszłej zimy w remontowanym zsybie znaleziono ciało zamrożonego kłozarda, cztery przerażone kobiety zaszły w ciążę, a nawet Laura zaczęła się łatać, myśląc „na serio”

o pozostawieniu na tym padole gaworzącej i plującej zmiążdżoną marchewką przepustki do nieśmiertelności. Życie podąża za śmiercią i vice versa. Nawet sam Pan Bóg nie wpadł na nic oryginalniejszego, bo czymże innym jest zmartwychwstanie?

Chciałem do domu.

— Nie ma mowy — odpowiedział Byron. Tatuś nad tatusiami.

— Posłuchaj, łapię się każdego tropu...

105-

— Nie.

— Cholera. Nie będę cię prosił! — zaszczekałem.

— I dobrze. Wtedy bym uznał, że zwariowałeś.

— Nie widzisz, co się dzieje? Przecież my żyjemy w domu wariatów. — Byron jako nieliczny nie nosił na łapie sznurka.

— Pieprzone Ordinis.

Podsluchujące naszą rozmowę szczenięta berneńczyka natychmiast nastawiły uszu.

— Nie słyszeliście tego! — szczeknął Byron.

— Tak, tato.

— Staram się je chronić, Al. Nie zrobisz z nich żadnych świadków.

— Wierzę. Ale czy na pewno ci się udaje?

Micky i Sly, zachwycone tym, że rozmawiają o nich dorośli, na dwa niewyparzone pyszczki i zupełnie jakby na moje prywatne zamówienie, zaczęły skandować jedną z narkomańskich tofikowych wyliczanek.

— Tu srocza warzyła — skubały się wzajemnie, jak to szczenięta — tu ogonek sobie sparzyła. Temu dała na miseczkę, temu dała na łyżeczkę, temu, bo grzecznie poprosił, temu, bo wodę nosił, a temu najmniejszymu nic nie dała, tylko fruuu, poleciała..."

— „I tu się schowała" — dokończyłem szeptem, starając się nie patrzeć, jak Byron dyscyplinuje swoich synów.

106-

— Hej, Al! — Berneńczyk powrócił zdyszany i zniesmaczony. — Najpierw musisz mi dać słowo, że nikt się nie dowie o tych zeznaniach.

— Możesz na mnie liczyć, Byronie.

Małe berneńczyki przycupnęły grzecznie przed nami, ale widać było, że to one, niby to odpowiadając na moje pytania, chcą dla siebie wyciągnąć wszystkie odpowiedzi dotyczące prawdziwego życia, toczącego się gdzieś za obsydanym kojcem.

— Lubicie spacerować o świcie? — zagadnąłem. Powolutku, powolutku będę zbliżać się do clou. Szkoda, że nie otaczają nas zabawki, że nie mam kieszeni, a tym bardziej słodyczy, które mogłym z niej wydobyc. „Czekolada uszczęśliwia".

— Nie. Ale tata mówi, że to zdrowe.

Byron westchnął głośno.

— Tata chce tylko waszego dobra.

— I my chcemy swojego do-
bra. Tylko że czasem to jest inne
dobro. Lubimy się wyspać. — Miały
zwyczaj mówić jednym głosem.

A były do siebie tak podobne (wy-
kapany tata — obie wersje), że od
107-

razu postanowiłem dać sobie spokój z wysiłkiem, aby
je rozróżnić. Szczególnie że nie posiadały jeszcze indy-
widualnego zapachu. Oprócz uroku szczenięcia czaro-
wały nas koktajlem oksytocyny i feromonów, które
młodą mamę miały przekonać do karmienia i tulenia,
a tatę do tacierzyństwa i wszystkiego, co się pod tym
hasłem kryło. A mogło kryć się wiele i różnie. Stosu-
nek ojców do dzieci oraz vice versa — ileż tomów
o tym napisano! Główny trend w literaturze przed re-
wolucją feministyczną, a i teraz... również.

— Opowiedz mi, jak wczesnie rano... — nie po-
wiem przecież, do cholery, „bladym świtem"! Co ja
w ogóle wiem o dzieciach? — ...znaleźliście w lesie
ciocie Jovankę, Janinę i Józefinę?

— Chodzi wujkowi o te zimne trupy?
Spojrzenia moje i Byrona skrzyżowały się jak
szpady.

— Czy one... czy ciotki naprawdę były zimne?

— Wie wuj, jakie są charcice.

— Może wiem, może nie...

— To wujek mało wie.

— Dzieci, trzymajmy się tamtego poranka. Czy
znalezione przez was psy były zimne, sztywne?

— Nie.

Czy powiedzą mi zaraz, że ciotki wyglądały jak-
by spały? W każdym razie tak gadają w telenowelach,
108-

bo nie wiem jak w dobranockach. Szczególnie w tych
z Królikiem Bugsem i jego wielką, fosforyzującą mar-
chewką.

— Aha. A czy nie wydaje wam się, że oprócz was
był tam ktoś jeszcze?

— Morderca!

— Tata! — Chór się rozdzielił.

— To znaczy tata krył się po chaszczach.

— Pilnowałem was, smarkii!

— Ciii, Byron — szczebnałem. — A morderca?

Były tam jakieś psy? — Oczy Byrona zrobiły się okrą-
głe i pojawiło się w nich nieme pytanie: „Co ty kom-
binujesz, Al?“. — Jacyś ludzie?

— Paru. Paru ludzi. Umykali z lasu.

— I tych ludzi było wielu?

— Dwóch.

— Na pewno dwóch?

— Niejeden. Jesteśmy mali i umiemy liczyć tylko
do dwóch. Nie chodzimy przecież jeszcze do szkoły.

— Więc tych ludzi było więcej niż jeden.

— Jeden to człowiek, więcej to ludzie, wujku.

— Mężczyźni? Kobiety?

— To byli faceci, chociaż gdyby się zastanowić,
to i oni...

— Opiszcie ich, chłopcy.

— Dwunożni tysi.

109-

— Wszyscy?

— Tak.

— Na pewno?

— Może jeden niższy od innych. I inaczej tysi.

— Jak inaczej?

— Jak tata, kiedy ma problem z sierścią.

Krępująca pauza.

— Możemy iść się pobawić?

— Ci tysi co robili?

— Patrzyli na nas.

— Kurwa!

— Tato, nie przeklinaj!

— Coś jeszcze?

— Wsiadali do... do... samochodu.

— Jaki to był samochód?

— Czarna wołga.

— Co?

— Tata mówi, że jak będziemy niegrzeczni, to
nas porwie czarna wołga.

— To prawda, Byron?

— Nie masz dzieci, to się nie odzywaj, Al!

— Czy ten samochód na pewno był czarny?

— No...

— Srebrny? Zielony? Bordo?

— Bordo? Co to jest bordo?

— To był czarny samochód, Al — powiedział Byron.

110-

— Skoro wasz tata tak mówi...

— I był taki dziwny, nie długi i niski, tylko wy-
soki i krótki.

— Auto terenowe. Nie rozpoznałem marki. Ta-
blice rejestracyjne upačkane. Dwóch facetów. Star-
szy: śmierdzący i łysy. Młody: wysoki, z ogoloną
glacą. A teraz skończmy tę farsę. Muszę zabrać
dzieciaki do domu.

— Gdybyś sobie jeszcze coś przypomniał, Byron...

— To wiem, gdzie cię szukać.

Kompania odmaszerowała. Goniły ją ojcowskie
złudzenia Byrona, głośno popiskując.

A tak w ogóle: „Drzyjcie, poeta pamięta!”.

Wybrałem okrężną drogę do domu. Gdzieś w chasz-
czach czaiła się zaniepokojona Laura ze smyczą
w garści, a ja nie zamierzałem wracać do blokhausu,
niczym jeniec w łańcuchach podczas triumfu zwy-
cięskiego Cezara. A figę!

Przechodziłem obok fasady kościoła, co nigdy
nie robiło na mnie, grzeszniku, wrażenia, bo zanu-
rzony w starożytności nadal sytuowałem prawdzi-
wych chrześcijan w katakumbach. Po drugie przy
mojej ulicy były trzy inne kościoły, widać Bóg mu-
siał mieć tyle rezydencji co popularne gwiazdy fil-

mowe w okresie prosperity. Tyle że o dwutysięcznej prosperie jeszcze nie słyszałem. Tu rzeczywiście musiało być coś nadprzyrodzonego. Rzuciłem okiem na pachnące kadzidłem, uchylone drzwi i zobaczyłem, jak dyskretnie, ocierając się bokiem o soczyste drewno, ze świątyni wychodzi kotka. Czarno-biała sąsiadka z folwarcznego dworku. Zatrzymała się, oceniła mnie na odległość i najwyraźniej nie widząc we mnie żadnej krwiożerczości, co tak często zdarzało się zestresowanym golcom, ponowiła wędrówkę, aż nasze drogi się spotkały.

— Jak to jest — zapytałem filozoficznie — oddawać cześć Bogu, kiedy kiedyś samemu było się bogiem?

— Och, Egipt — uśmiechnęła się. Dodam, że pogoda była marna i każdy zmarzluch, nieważne: dwunożny czy czworonożny, marzył o sączeniu drinka przez słomkę, tuż pod pyskiem Sfinksa. — Uroczo było.

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

— A nie jesteś za ciekawy?

— Życie zmusza mnie do ciekawości. Najchętniej bym się wylegiwał.

— Niech ci będzie, Al. — Znała moje imię! — Powiedzmy, że wpadłam do kościoła na taką małą ekumeniczną herbatkę.

Później parsknęła i zostawiła mnie.

— Hej, a ty jak się nazywasz?

Nawet nie zastrzygła uchem. Niech ci będzie, pomyślałem sobie.

Stałem na naszym żółtym, powiędłym trawniku i obserwowałem Tofika. Z pewnej odległości. Jeremiasz też tam był, ale znacznie bliżej, prawie opierał się o basseta. W zasadzie to go podtrzymywał. Cmoknąłem z niechęcią, widząc czerwone sznurki na ich łapach.

— „Jadę na wycieczkę i zabieram ze sobą automatyczny akumulator, brzęczącego brzęczyka, czekoladowe ciasteczko...” — Tofik recytował dziecięcy anonimowy wierszyk. Głosem japońskiego psa robota. Tylko że japońskiemu produktowi nie rozjeżdżają się tylne łapy i nie kiwa się jak kundel chory na chorobę sierocą.

Zakląłem siarczyście. Sekta!

— Nie powinieneś karmić go tymi grzybami — rzuciłem do Jeremiasza.

— A co mu będzie? — odszczeknęła się. — To basset.

— Taaak. Basset — zgodziłem się. — Basset hound.

— Jesteś ostatnio przewrażliwiony.

— I co? — odgryzłem się.

113-

— I nic — szczeknęła podwórkowy prorok. Zaskakująco spokojny. Patrzył nie na mnie, a na przerastającego go o dobre dwie głowy sflaczałego Tofi-

ka. Chronił go czy obserwował jak bakterię pod mikroskopem, własnoręcznie wyhodowaną na płycie Petriego?

— Nic? Nie zaproponujesz mi kozich bobków?

— Nie. Po co?

— Nie poznaję cię. A ty coś żarł?

Nie odpowiedział mi, bo Tofik właśnie omdlał, przyniatając teriera całym swoim miękkim ciężarem.

Nie pomogłem im. Ruszyłem w zupełnie innym kierunku. Ostrożnie jak matka sześcioraczków w ponownej ciąży przeciąłem dwie ulice i ruszyłem przez park. Gdzie park się kończył, zaczynały się uprawy Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego i padok koni przyszłych weterynarzy. W rezerwacie obok wisiały tabliczki ostrzegające przed wściekłą. I tak bym się w niego nie zapuścił. Skutecznie odstraszała mnie i młodzi lekarze, i stare konie. Poszedłem pod Dąb i się zatrzymałem. „Mieszko” rósł (wciąż jednak rósł!) na uboczu, jak porzucony bóg. Dziewięćset lat życia i jeszcze nie znudził mu się ten padół, nie złamał go. No, może trochę. Pień był wzmocniony betonem, wokół żadnych żółędzi, tylko odpyski zaprawy.

— Cześć, stary. I jak tam?

Milczał. Nawet mi nie zaszeleścił stetryczalnymi konarami. Szkoda, najpierw nie słuchamy starców, a później oni milkną.

— Co przeoczyłem? — pytałem go uparcie.

Powinien mnie rozumieć, mimo że ja byłem psem, a on drzewem. W swoich najlepszych latach, w średniowieczu, widział niejedno polowanie. I hordy psów myśliwskich. Psów świętego Huberta — byliśmy wtedy popularne jak dziś Yorki.

Cóż za paradoks: święty Hubert najpierw nazywał się Franciszek. Był myśliwym i przed swoją sforą ocalił rannego jelenia. Ten jeleni później do niego wracał, tyle że to nie było zwykłe zwierzę, a Jezus w zwierzęcym przebraniu. Taaak, średniowiecze.

— Piesku! — zawołał za mną głos. Znałem go. Odezwał się starszy facet. Miał na nosie zaporowane okulary, o szklach grubych jak denka butelek. Płakał? Pewnie płakał.

Podszedłem do niego. Rękawy jego płaszcza wciąż nosiły w sobie zapach charcic angielskich, choć intensywniejsza woń biła z piersi, gdzie Jovanka, Janina i Józefina opierały swoje wąskie łapy.

— Idź stąd piesku. Wracaj do pana. Na pewno się martwi.

Zaskamlałem pro forma.

— Ja też tęsknię piesku. Za moimi trzema dziewczynami. Otruli mi je, całkowicie mi je otruli. A potem... — pociągnął nosem.

Wcisnąłem ogon pomiędzy pośladki i ruszyłem tam, gdzie powinna być Laura.

Semplice, tak. Czuję się trochę szalony.

„Pies zadaje ból tylko, gdy umiera”,

powiedziała Brigitte Bardot. Zamie-
rzałem udowodnić, że się myli.

Pacnąłem go, aż mnie łapa
zabolą. Waliłem jak w pusty
bęben, starając się jednocześnie
przypomnieć sobie najefektowniej-
sze sceny walk z filmów Tarantino
książkowe opisy walk gladiatorów.
Tańczyłem z nim.

— Co ty myślisz, że jesteś John
Travolta? — jakby się ocknął.

— A ty Uma Thurman? — warknąłem.
Zacisnąłem zęby na jego luźnej skórze, fałdują-
cej się na grzbiecie, i zatańczyłem nad stawik.
Plasnąłem nim w wodę.

Jakaś żaba patrzyła na nas, siedząc na kamieniu.

— Plaudite, cives\ — szczeknąłem do niej. —
Klasczcie, obywatele!

116-

Odskoczyła na bok.

Mokry Tofik gramolił się po gliniastym brzegu.

— Co ci odbiło? — jęczał.

— Nie podoba się?

— Wcale — parsknął wodą. — Powiem wszyst-
ko mojemu panu!

— Tofik, uspokój się. To ja, Al. Twój przyjaciel
— zaszczekałem.

— Właśnie na ciebie patrzę. Cholemie uważnie
się przyglądam. Co to ma być?

— Detoks — zabawnie poruszyłem uszami. —
Mamy do pogadania.

— Kompletnie cię pogięło.

Zgodziłem się. Też radośnie.

— Schronisko. Co wiesz o psach ze schronisk?

— Że trzeba im pomagać.

— I?

— Nie śmiać się. Dzielić kocem. Karma? — po-
wiedział to z wyraźną wątpliwością w głosie.

— Ale z ciebie Mały Lord, Tofu.

— To zapytaj Trampa!

— Nadal uważasz, że on tam był?

— A skąd by wziął szczeniaki?

— Skądkolwiek. Niestety.

— Były zaczipowane. Porzucone szczeniaki czy-
puje się tylko w schronisku.

117-

— Skąd wiesz?

— Bo nie jestem ślepy. Miały ślady na grzbieciech.

Zamyśliłem się.

— Myślisz, że Tramp też ma chip pod skórą?

— Nie wiem. U starszego psa trudno dostrzec
wybrzuszenie. W ogóle go nie widać.

— Ale co jest w takim czipie?

— Wszystko. To znaczy jest numer. Wchodzisz
na odpowiednią stronę w internecie, wklepujesz cy-
fry odczytane z chipa. Straż Miejska ma takie czytni-

ki. Wystarczy przyłożyć do grzbietu.

— I?

— Zgłupiałeś — stwierdził sentencjonalnie. Doniosła pauza. — I masz wszystko. Za numerem idzie adres właściciela, telefon.

— Nazwisko?

— Oczywiście, że nazwisko. Co z tobą?

— Myślę.

— To rozumiem.

— Sądzisz, że Tramp ma taki czip?

— Sądzę, że ma. Ale to jego zapytaj. Najlepiej,

kiedy turlacie się po tych swoich poduszkach. —

Otrząsnął się z resztek wody i odmaszerował.

Tylko on jeden zżerany przez zazdrość mógł wyglądać tak dumnie.

118-

Niesiony nieciekawymi myślami wparowałem na swoją klatkę schodową i nagle coś mnie zatrzymało. Dyszenie. Oraz przeciągłe łubu dubu. Łubu dubu.

Zmarszczyłem nos w gniewie. Ludzie! Z wszelakich lektur i seansów DVD, wśród których prym wiodło ukochane przez Laurę 9 i pół tygodnia, wiedziałem, że ludzie wybierają osobliwe miejsca, aby oddać się kopulacji. Najwyraźniej powtarzalność samego aktu ich nużyła. Jak nie możemy zmienić partnera, to chociaż tapetę! Łubu dubu. Łubu dubu.

Wiedziałem, że golce robią to w windzie, zamieniając się w aktorów-amatorów, już nie tylko przed swoim sapiącym kochankiem czy kochanką, ale również nieświadomie przed ochroną budynku. Szanowni Państwo, nowoczesne windy wyposażone są w kamery przemysłowe! Łubu dubu. Łubu dubu.

— Portki w górę!

— Słucham? — Zza poręczy wychylił się łeb zdyszanego Yossariana. Grzeczny chłopiec, dobrze ułożony, nauczył się mówić „słucham”, zamiast plebejskiego „co”.

— Co ty tam robisz? — zadudniłem. — Znowu się zgubiłeś?

— Nie. Ćwiczę.

— Co?

119-

— Ćwiczę, biegając po schodach. Góra, dół. Zależy mi na tym, aby rozwinąć muskulaturę łap. I polepszyć kondycję.

— Po co, chłopcze?

Popatrzył na mnie ze zdumieniem. W porządku, wołałem zobaczyć w jego oczach zdumienie niż politowanie. Znaczy byłem nie na czasie.

— No, chodzi mi o niunie.

— Niunie?

— Sikorki.

— Będziesz ganiał za ptakami?

W jego wieku wszystko jest możliwe.

Zszedł do mnie i szczechnął konspiracyjnie:

— Suczki. Chcę mieć dobrą kondycję dla suczek.

Aaa, nie pomyliłem się tak bardzo, jednak chodziło o seks.

— Na wiosnę chcę zaszaleć.

— To dobrze. — Co innego mogłem powiedzieć?

Nie zestarzałem się jeszcze tak bardzo, aby wysłać cudzą młodość do stu diabłów.

— Al — przysunął się — jak mówi się po włosku „mężczyzna”?

— Uomo, chłopcze.

— Omo — powtórzył z rozmarzeniem. — Jak nazwa proszku. Prawie.

— Uomo — powtórzyłem.

— Nie jestem już chłopcem, Al. Jestem omo.

120-

— Może trochę ci jeszcze brakuje.

— Tak, sikorki — znowu zaczął przebierać łapami. — Ale mój pisiorek jest gotowy do dzieła.

— Twoje co? — Uszy mi się uniosły.

— Pisiorek — powtórzył z dumą.

Temu szczeniakowi naprawdę brakowało ojca.

Poczułem się w obowiązku...

— Fallus. Fallus to brzmi dumnie. Na „pisiorka” nie poleci żadna laska!

— Faulus?

— Fallus. — Moje westchnienie odbiło się głębokim echem po klatce. — Przecież nikt ci jeszcze tego pisiorka nie sfaulował.

— O nie. Pisiorek... to jest fallus ma się wspaniale.

— Cóż, prawie się tego domyślam.

Mam sześć lat i już zostaję w tyle.

— Fallus. Omo — zaczął powtarzać raz po raz, jakby wkuwał zadaną lekcję. Na przykład: największe rzeki Europy. Albo: inwokację z Pana Tadeusza. „Pisiorku, nadziejo moja...”.

— Z resztą sobie poradzisz? Wiesz, pszczołki i takie tam...

— Brakuje mi tylko suczki.

Pomyślałem o suchej zaprawie na nodze żony admirała, ale zaraz ugryzłem się w język. Jeden kastrat na piętrze wystarczy.

121-

— Yossarian — coś naraz wpadło mi do głowy.

— Znasz Trampa?

— Każdy go tu zna.

— A mógłbyś go o coś zapytać?

— Jasne!

— Zapytaj go, czy ma wszytego chipa.

— Chipa? — Przechylił łeb. — A jak mi przylutuje?

— Nie robi tego. Jeśli ograniczysz się do jednego pytania. A teraz biegaj, biegaj... Primavera!

— Słucham?

— Wiosna, synu. Myśl o wiosnie.

Miałem ochotę pojechać windą.

Nie znoszę sekretów. Przynajmniej tych niedotyjących starożytności. Tajemnice dnia dzisiejszego śmierdzą mi kryminałem. Albo głupotą. Ludzką

głupotą, zawiścią i chciwością. Psią głupotą też. Trudno mi było patrzeć na współbraci, którzy z dumą obnosili łapy obwiązane sznurkiem, jakby były kawałkami baleronu. Świat plotkował.

Drapieżne gawrony czy inne kruki o świcie sprzymierzone z sowami śmiały się z nas wszystkich. Nie potrafiłem ich zmusić, aby zaśpiewały: „Co jest takiego zabawnego w psach?”. Szczególnie w psach, które grupkami nocą objają sobie mordy o drzewa i gnają na sabat. Seks grupowy? Trudno

122-
mi było sobie wyobrazić Jeremiasza, a tym bardziej Tofika (terier mógł mnie jeszcze czymś zaskoczyć) jako mrocznych kapłanów seksualnego kultu, w którym psia sperma miała odstraszać demony. Z drugiej strony, jeśli ludzie zakładają stowarzyszenia swingersów albo tajne loże, gdzie na golasa kicają w świetle księżycy, oddając cześć kozłom, to co mogło przyjść do łbów psom? Jakiego Tofu robi idiotę z siebie i z nas wszystkich? Władza nad sekretem mogła mu uderzyć do głowy. Ordinis? Ja mu pokażę Ordinis! Jednak najpierw ktoś musiał, chociaż w słowach, pokazać je mnie. Ktoś, kto świetnie widział w ciemnościach. Ktoś dyskretny. Ktoś, kto i tak miał psy za idiotów. Znaczą kot.

Z kotami zaś ze wszystkich znanych mi psów, które nie należały do ordynarnego Ordinis, dogadywał się tylko Tramp. Poprosiłem go o między gatunkową mediację. Podpytałem go o koty, które również były dla mnie sekretem. Zawsze wyglądały jak istoty z innego wymiaru, nawet kiedy wzorem czarno-białej kocicy wylegiwały się na słońcu na wpół zapadniętym dachu budynku folwarcznego.

— Jak ma na imię ta kotka? — pytałem o tę czarno-białą, którą obserwowałem przy słonecznej kąpieli. Sytuacja zupełnie podobna do tej, w której król Dawid podpatrzył Batszebę, co zmieniło losy Królestwa.

123-

— Nie ma imienia. Koty w ogóle nie mają imion.

— Jak to?

— Koty uważają, że jeden kot jest wszystkimi kotami na świecie. A wszystkie koty jednym kotem.

— Tak razem, kotki i kocury? Wszystkie?

— Tak.

— To do nich podobne. — Stereotypy lęgną się w głowie jak pchły w sierści. Nie poradzisz.

— Ta kotka z ruin nie ma imienia. To znaczą ma. Jest po prostu Kotką.

— I rozejrzy się dla nas? — dociekałem.

— Nie. Rozejrzy się, bo jej to po drodze.

Logika Trampa, nie, kocia logika, którą on tak łatwo przejął, przerażała mnie, a co bardziej niepokojące — podniecała. Kotka z sąsiedztwa... Kotka o imieniu Kotka. Kotka będąca uosobieniem wszystkich kotów i kocic. Jak coś tak prostego może być tak skomplikowane? I nie utrudnia kotom życia, tyl-

ko wszystkim innym wokół? Co za magiczne istoty, te koty, zrymowało mi się w myślach. I od razu wróciły do mnie wszystkie dumne wierszyki wyszczekiwane przez zagrzybionego Tofika, jakby wypadły nie z gardła, a z dna metalowego wiadra.

— Że ty potrafisz dogadać się z kotem? Gdzie się tego nauczyłeś, Tramp? — Głos wewnętrzny podpowiadał mi, że w schronisku, gdzie psy i koty jada na jednym wózku.

124-

— Z niejednego pieca chleb się jadło.

Mogłem się założyć, że nie kłamał. Nawet w kwestii chleba.

Ha! Doprawdy tego mi jeszcze tylko brakowało!

Laura wpadła do domu jak burza, a mój godny zwykle ogon schował się nędznie pomiędzy pośladki, żeby tylko nie został wzięty za organiczny piorunochron. Laura pieniała się jak Królowa z Alicji w Krainie Czarów. „Przemaalowaliście róże? Ściąć im głowy! Ściąć im głowy!”

Laura, moja prawdziwa Rzymianka, która pojęła wzorowo naukę starożytnych, że nie wystarczy ukatrupić tego, kto zawinił, ale i jeszcze jego żonę, dzieci, braci, siostry, bratanków, siostrzeńców, starą matkę i ojca, ogrodnika, kucharza, psa oraz kwiat niewolnic. Kiedy rąbnęła torbą o ścianę, w której nosiła swój jedyny majątek oprócz mnie, to jest okulary za kafła, pojąłem, że tym razem jest naprawdę źle... albo że to początek menopauzy.

Laura pieniała się jak Rzymianka, ale jej obelgi płynęły wprost z neapolitańskiego rynsztoka. Co temu

125-

dziecku czytano w dzieciństwie? Podszedłem do lodówki, by obwąchać drzwiczki i zorientować się po domniemanym intensywnym zapachu, czy mamy w zamrażalce zdechłą rybę, którą sycylijskim zwyczajem należało wysłać temu, kto myli się, że przebywa jeszcze wśród żywych.

Szczekałem, usłużnie podsuwając Laurze co bardziej plugawe zwroty, bo dopóki się nie wyładuje, nie dowiem się, kto ją tak wkurzył.

Tel dei Tali, taki owaki, stronzo (czyli ludzkie gówno, ale uwaga — o zbitej konsystencji), szmondak, co nie było obelgą włoską, a wziętą z repertuaru narodu wybranego, i jeśli Bóg rozumiał w jidysz, to właśnie w tej chwili zamknął oczy. „Żeby ci wypadły wszystkie zęby z wyjątkiem jednego, a ten, co ci zostanie, niech cię napieprza po wieki wieków, amen”. I tak do dziesiątego pokolenia.

Naiwnie, jak naiwnie czekałem na tęczę, niby mitologiczny różnobarwny łuk mostu prowadzący do piekła, czyli i w tym, i w wielu innych wypadkach

do informacji. Byłem już bliski wyzionięcia ducha, trząsałem się jak osika, a gały zalepiła mi starcza katarakta, kiedy w końcu Laura odetchnęła i przycichała. Zabrała torbę (miałem nadzieję, że okulary są w całości, a nie przypominają odłamków lustra, którymi zabawiał się panicz Kaj), golnęła sobie drinka 126-

i poszła pod prysznic. Zmyła z siebie kwaśny pot i gotowa była opowiadać. Nie mnie, Sebastianowi. Do mnie wygłaszała monologi, kiedy akurat była bez faceta, a kolejna paprotka zdechła od nadmiaru przekazywanych jej słów (paprotki są wrażliwe i lubią Mozarta) oraz z braku wody i substancji mineralnych. Słuchałem więc piąte przez dziesiąte (a może dziesiąte przez piąte, bo Sebastian był raczej milczkiem), patrzyłem jak telefon komórkowy gwałtownie tracił metaliczny poblask w gotyckich palcach Laury i próbowałem to i owo poskładać w jedno. Wychodził istny Igor doktora Frankensteina!

Pryza uparł się, że Laura ma pojechać z nim na wycieczkę, która to wycieczka miała być niezbędna, aby można było pojąć jego mitomański plan, a później promować za sprawą firmy Laury. Nie, Pryza nie próbował jej molestować za pomocą swojego nędznego pisiorka. On zdecydował się na erekcyjne prężenie swojego wybujałego ego! Oczywiście znane były pierwsze założenia: powstanie Pryzowa fundacja, która otworzy schronisko. Za schroniskiem pójdzie cmentarz dla zwierząt. Kto odprowadzi swojego pupila na wieczny spoczynek, ten przecież targany wzruszeniami nie będzie mógł swobodnie minąć nieodległych boksów pełnych psów i nie zaadoptować któregoś z nich. Tyle strawa duchowa. Strawa cielesna: obok 127-

postawi się zajazd. Cudza śmierć potrafi wygłodzić, dlatego kultura wymyśliła stypę. Zajazd będzie oferował stypę po psach, a także porcję boeuf Strogonow po każdej wizycie na cmentarzu... Czasem trzeba coś zjeść, żeby poczuć się żywym! Opowiadając to, Pryza był nie tylko żywy i podekscytowany — fachowiec nazwałby to zapewne stanem manii. Zajazd i schronisko będą miały coś jakby wspólny wyszynk, dzięki czemu kucharki będą pracować bez przestojów, a wszystkie pikantne odpadki pochłoną biedne przygarnięte psy. Cóż, nawet dla mnie to brzmiało dość komicznie. Dla Laury mniej, dla Sebastiana na pewno też, skoro wszystkie zyski miały iść przez fundację. A zyski chyba miały być, skoro wciąż mówiło się o oszczędnościach na psich żołądkach i wyprawach do miejsca typu NecroDonald! Laura tak naprawdę poczuła się nie na miejscu, kiedy wraz z Pryzą osiągnęli cel podróży. Cmentarz dla zwierząt. Czy przyszli zapalić świeczkę, położyć na grobie gumową zabawkę, pomodlić się, odmówić mantry? Nie! To znaczy Pryza wcale nie miał na to ochoty. On kalkulował na bieżąco, jak duży musi

być kawałek ziemi, żeby pochować w nim psa. Ile zwłok da się upchnąć na metrze kwadratowym? Po ilu miesiącach można wykwaterować nieboszczyka, robiąc miejsce nowemu? Dopłata cmentarna albo twój Azor łąduje w śmietniku!

128-

Bardzo oplaca się mieć własny zakład kamieniarski, który będzie rył na marmurze te wszystkie słodkie imiona: Fuńka, Burek, Kacper etc.

Och, parking! Zapomniałbym, że oprócz wiecznego parkingu dla psów, miałyby być i tymczasowy dla ich państwa. Z opłatami! Na fundację! Na boeuf Strogonow!

Oczywiście psy, które nie wytrzymałyby rygorów życia w schronisku, miałyby swój splachetek cmentarza pod płotem, a najlepiej pod parkometrem! Ha! Ha! Ha!

Weterynarz? Po diabła weterynarz? Weterynarz nie jest tak wielofunkcyjny jak kucharka!

Laura zapytała, czy mogliby już wrócić do miasta, bo jej trochę słabo. NecroDonald na osiedlu! Na terenie rezerwatu! Nie dla psa kiełbasa! A jeśli biedny piesek ma biednego pana? Żadnego tam chciwego developera, ale gościa o wielkim sercu? Pomożecie? Pomożemy!

Pryza niechętnie i niezgrabnie wgramolił się do swojego samochodu (on był niski, samochód wysoki) i ruszyli. Laura zapytała, czy może zapalić? Tak, tak, w aucie Pryzy palić można, z Ameryki sprowadził i zainstalował w samochodzie filtry pochłaniające dym. Niech zwykła zapachowa choinka na sznurku dyndająca przy lusterku przestanie dyndać i się

129-

schowa! Laura może zapalić, ale nie wolno jej używać samochodowej popielniczki. Pod żadnym pozorem. Popiół — myk za okno. Spalony pecik za szybę...

Trudne do zapamiętania? Nie, ale kobieta w stresie się zapomniała. Zgasiła w popielniczce...

Wtedy nastąpiła Sodomia i Gomora! Wrzaski i histerie. A straty moralne pokryje jej agencja PR — świadcząc usługi Pryzie za darmo! A teraz do widzenia, audycja skończona. Pryza wysadził Laurę na rogatce miasta, gdzie stała skamieniała niczym żona Lota, dopóki do niej to i owo nie dotarło... I nie złapała okazji do centrum.

Tel dei Tali. Stronzo. Szmondak.

Igor doktora Frankensteina.

Sebastian niósł go na rękach, a on zwisał bezwładnie. Przyglądałem się temu eon un groppo mella, z bolesnym supłem w gardle, jak mawiają Włosi. Okrutny morderca dorwał mojego przyjaciela, który... który zdawał mi się workiem nie zawsze koszernych tajemnic. Jedyne, co mogłem zrobić (stupido!), to wziąć w zęby poduszczkę i w akcie ekspiacji, dziennej modlitwy i ofiarowania złożyć ją u stóp Sebastiana, czyli gdzieś pod dyndającymi łapami Tram-

pa. Sebastian mało się o nią nie wyrócił. Stupido! Laura była mądrzejsza, od razu zadzwoniła do weterynarza. Ale cóż dottore miał powiedzieć? „Łazarzu, wstań”? Biedny, biedny Tramp. Zaskomlałem i wtedy pies się poruszył.

— Ostrożnie — dyrygowała Laura Sebastianem, kiedy kładli Trampa na łóżku. — Może mieć połamane kości. Co się stało?

— Znalazłem go przy samej ulicy. Pewnie samochód go potracił.

— Cosi non si fa — szczechnąłem w niebo. — Nie zgadzam się. Ti prego! — Błagałem po chwili, rozmodlony niczym ateista w spadającym boeingu. — Tramp, Tramp słyszysz mnie?

Powieki miał mocno zaciśnięte.

— Trampik, zaraz będzie tu lekarz!

— Po co? — odezwał się cichutko.

— Tramp, ty żyjesz?!

— A co, ten lekarz to miał być patolog sądowy?

— Wciąż nie otwierał oczu.

Udałem oburzenie, ale po sercu rozlała się radość.

— To nie był samochód.

— Farabutti! Łobuzy! — zawyłem.

— To był skuter.

Postanowiłem, odganiany przez Laurę, obmyć własną śliną rany Trampa.

131-

— Zabiję ich — zadeklarowałem się, co nie było trudne.

— Daj spokój.

— Nie umieraj! — Zacząłem szorować pyskiem po jego zakrwawionym grzbiecie, aż Laura tak rąbnęła mnie ręcznikiem, że autentycznie zawrzała we mnie żądza mordy. Sebastian pociągnął mnie za grzbiet i zatrzaskał w łazience.

Siedząc na lodowatych kafelkach, mogłem ochłoniąć z bólu i zgrozy, zupełnie jak chora Laura, która zawsze leczyła kaca, leżąc pokutniczym krzyżem na łazienkowej podłodze. Pokuta niesie zbawienie. Meno male, pocieszałem się, całe szczęście jest tylko jedna rana! Ale czy Tramp nie ma krwotoków wewnętrznych? A kości? Czy skuter nie uszkodził czegoś wewnątrz? Na szczęście poruszył się, mówił do mnie. Inna sprawa, że madame de Pompadour, królewska metresa Francji, też puściła baka na łożu śmierci, siejąc popłoch pośród tych, którzy myśleli, że pilnują trupa. — Jeszcze nie umarłam — zauważyła z satysfakcją. I skoła.

Madame de Pompadour, ta sama dama, która zapisała się w myślach filozofów, utracjuszy i komunistów jako kochanka, która rzekła do napalonego i bogatego króla: „Po mnie choćby pustynia!”. Nie! Ona powiedziała: „Po mnie choćby potop!”. Jak mogłem zapomnieć, przejęzyczyć się tak okrutnie... Myśl, Al. Myśl, Al. I módl się.

Tramp miał na grzbiecie jedną krwawiącą ranę,

którą właśnie opatrywał weterynarz, ten sam co uciał mi jaja. Postanowiłem się z nim nie witać. Ale podsłuchiwać mogłem.

Konował powiedział, że zabiera Trampa do psiego szpitala na USG i rentgen. Ale kości pies ma raczej całe. Miejmy nadzieję, większych obrażeń nie będzie. Tylko ta wąska, głęboka i poszarpana rana pomiędzy łopatkami. Wygląda trochę jak... Potrąciło go? Czyli musiał przyjąć uderzenie na grzbiet. Państwa pies miał dużo szczęścia, auto trąciło go kątem zderzaka i odrzuciło z drogi. Przysięgłbym, że to ugryzienie.

Furbetto Tramp! Cwany Tramp! Mogłem się założyć, że po jego chipie nie ma śladu.

Odważny Tramp! Sfingował własny wypadek.

Rzucił się pod... rower? Że też Anna Karenina tak nie mogła. Co za pyszna intryga, aż musiałem się napić, bo z emocji zaschło mi w gardle. Dobrze, że Sebastian, jedyny prawdziwy facet w tym domu, nie opuścił pokrywy klozetu.

Wąska, głęboka i długa rana. Wąskie, głębokie, długie ugryzienie. Perfekcyjne, nie zabójcze, a efektowne. Niechybiające celu. Zadane wąską, elegancką 133-

szczęką, osadzoną w długiej arystokratycznej kufie. Madame Pompadour, oby twoja anielska alkowa miała wszystkie najlepsze wygody!

Pozostawało pytanie: jak Tramp namówił innego psa, aby ten uwolnił go od chipa? Co obiecał?

Z tym trzeba było się przespać.

Ściągnąłem z wieszaka szlafrok kąpielowy Laury i zacząłem ugniatać go łapami, aż na podłodze łazienki powstało pożądane gniazdko.

Pogoda była „pod psem”. Nie wiem, kto wymyślił to durne określenie, ale postanowiłem mu się podporządkować i odmówiłem wyjścia na zewnątrz. „Na taką pogodę nie wyrzuciłbym psa z budy!”

Cóż za łaska, o panie! Niektórzy ludzie najwyraźniej chcieliby, aby psy poczuły się nie tylko najemcami skromnego M, ale w ogóle najemcami życia. Pokazałem Laurze zęby. Uznała — jak wszyscy wokół ostatnimi czasy — że najwyraźniej jestem trzepnięty, a ja po prostu czułem się wytrzebiony duchowo, niewyspany, a od wilgoci bolały mnie wszystkie kości. Starzałem się, niedługo niezbędne do życia okażą się kocyk, bujak, szklanka mleka i klej do sztucznej 134-

szczęki. Albo: czerwone porsche, viagra i młodziutka suczka o gładkim, ciepłym ciele. Skoro król Dawid mógł mieć swoją Abiszag, to w czym ja byłem gorszy? OK, nie zabiłem Goliata, ale czy nie mierzyłem się z nim co i rusz, jeśli przyjąć, że olbrzym Goliat to samo życie?

Laura wypuściła mnie na balkon, abym mógł sobie ulżyć. Może to było niehigieniczne, ale co to za satysfakcja lać ludziom na głowy. Czułem się jak Zeus odwiedzający Danae. A później spojrzałem w niebo. Było tak zachmurzone, że nawet samoloty nie latały. Dobrze w tym zjawisku było to, że przynajmniej żaden boeing nie wbije się w sam środek mojej wieży z kości słoniowej. Pogięty metal WTC kupiła jakaś azjatycka firma i teraz produkowała z niego lodówki. Czyżbyśmy wszyscy byli skazani na jeden wielki recykling? Jeśli tak, to Bóg był największym segregatorem odpadków. O ile w ogóle był. Radziecki kosmonauta stwierdził, że w kosmosie żadnego Boga nie widział; inaczej jego amerykański „kolega”, który po rozdźwięczeniu księżycowej powierzchni wrócił na Ziemię, schował skafander do szafy i został pastorem. Nieznane są ścieżki pańskie. Łajce za to było „wsiorawno”. Mamy przesrane, pomyślałem, paprząc do olbrzymiej donicy fikusa, aż Laura w końcu wpuściła mnie do mieszkania.

135-

Pod sufitem, który tego dnia zdawał się wisieć wyjątkowo nisko (Laura się wściekła, ja — obraziłem), przyszedł mi na myśl film Flip i Flap w Legii Cudzoziemskiej. Ten, który kończy się katastrofą lotniczą. Flip wychodzi z niej bez draśnięcia, Flap ulatuje na chmurce. Ściemnienie. Flip, kontynuując ziemską wędrówkę, ze skromnym tłumokiem na ramieniu i z uśmiechem półgłówka spaceruje amerykańską route 66. Nie śpieszy się, ma czas na rozglądanie się po poboczu (w poszukiwaniu zwrotnych butelek, jak sądzę). Widzi konia. Grubego konia z czarnym wąsem i cygarem. Toż to Flap! Tyle że parzystokopytny! Happy end.

Jak by to było zginać psem i odrodzić się człowiekiem? Ciarki mnie przeszły. No i co z ciałem? Z psim ciałem? Ja nie chciałbym, aby moja „pusta skorupa” bloodhouna wylądowała na śmietniku. Lepiej już, żeby prochy wystrzelono w kosmos. Albo żeby Laura z awionetki wysypała je nad szmaragdowym morzem. Tyle że ona bała się latać! Gdzie są wszyscy moi zamordowani przyjaciele? Miałem cmentarz w głowie. A Sąd Ostateczny na końcu wilgotnego nosa. Czułem mirrę, kadzidło i... złoto. Byron mnie rozczarował. Powiedział „mam dość”. Nie wiem, skąd wzięło się to u mnie, ale nie potrafiłem

136-

zdzierżyć takich słów u samca. Nie żebym był bez grzechu. Ja swoje „mam dość” chowałem głęboko, w miejscu między uszami. A jeśli to nie wystarczało? Podbieierałem Laurze prozac. Tak trzęsły jej się ręce, że od czasu do czasu jakaś kapsułka spadała na dywan. A co najważniejsze — zawsze w odpowiednim momencie. Ostatecznie mogłem poczytać sobie jeszcze Schopenhauera. Zaprawdę: Byron mnie rozczarował.

— Musimy iść i sprawdzić sami! Bo już nie daję

rady... To wszystko... Demoralizacja dzieci... Ordinis zbiera się dzisiejszej nocy. Musisz iść ze mną, Al! — czekał.

— Jak to sobie wyobrażasz, co? Że przywiążemy sobie wstążkę do łapy i nikt nas nie pozna? W porządku, tobie nawet uwierzą, kiedy przyłapany skłamiesz, że chcesz przystąpić do stowarzyszenia. Powiedzą: stary Byron wreszcie zmadrał. Ucieszą się. Ale co ze mną? Na moje nawrócenie się nie nabiorą. Zresztą w ogóle mnie w swoich szeregach nie chcą. A sznurek na łapie jako kamuflaż? Wybacz, ale jestem w okolicy dość znany...

— Będzie ciemno.

— Będzie pełnia księżyca. A zapach? Co z naszymi zapachami?

— O co chodzi? Trzeba będzie wytarzać się w cudzej kupie.

137-

— Och, Laura będzie zachwycona.

— Olewasz psy dla ludzi?

Nie odpowiedziałem. Męczyło mnie coś innego...

Skoro Byron mnie rozczarował, skoro nie mogłem zaufać żadnym psom, to czy mogłem liczyć na kotkę i jej informacje? Nie żebym był ciekawski, ale...

— Spójrz w niebo. Jestem psem pasterskim.

Niebo będzie zachmurzone, nie rozpoznają nas.

— Na pierwszym drzewie przerobię sobie kufę na mordę mopsa.

— Al, nie bądź naiwny. Nie ma nic bardziej jawnego niż działania tajnych stowarzyszeń. Tylko my jesteśmy ostatnią dwójką frajerów, która nie wie, o co chodzi. Chodź, popędzimy im kota.

— Właśnie tego się boję.

— Czego?

— Twojej brutalności, Byron.

— Jestem łagodny jak baranek. Tak czy siak, idziesz ze mną. Przysługa za przysługę. Pozwoliłem ci porozmawiać z dziećmi.

Cóż, kiedy tak postawił sprawę, nie miałem wyjścia.

Będę tego żałował?

Te cholerne psy szły na spotkanie po prostu ścieżką. Zupełnie jakby był środek dnia i gęsiego maszerowały na targ; tymczasem my z Byronem, po kwadransie w leśnych krzewach, mieliśmy już niezłe

138-

podrapane pyski! Auć, to zabolalo! „Stowarzyszenie” od siedmiu boleści! Ordinis, na moją łapę!

Psy szły, wymieniając się opiniami o kamach, serialach, zdrowotnych niedyspozycjach, seksie udomowionych golców.

Najlepszy sposób na zaparcia. Co tam Na Wspólnej? Mój pan sypia z dziewczynką, która mogłaby być jego córką. Co sądzisz o piersiach Dody? Chciałabyś mieć takie, czy wolisz swoje sześć sutków? Wolę saaszetki od puszek. Próbowaleś może ostatnio dzika?

O w kufę!

Pieski obwąchiwały sobie życzliwie zadki i trącały się pyskami. Jeśli ktoś zachowywał się trochę bardziej dostojnie, to znany nam basset. I prorok. Jeden sterczał sztywno na mrocznej polance, drugi kierował psią pielgrzymkę do drzewa, w którego korzeniach leżała cateringowa sterta grzybków, jagód, liści i... bobków. Chyba już lepiej było całować mopsa w tyłek.

— Sprzymierzeńcy i Przyjaciele — zaczął Jermiasz. — Bracia i siostry!

— Patrz tam — Byron mnie trącił. — Ktoś siedzi na pniu.

Faktycznie, na świętym drzewie niczym na podwyższeniu widniała jakaś postać.

— Może dobrze by było, żeby jednak księżyc wyszedł zza chmur — stwierdził Byron.

139-

— Może — zgodziłem się. — Tylko czy naprawdę wszystko trzeba widzieć na własne oczy? Byron mnie nie słuchał. Pilnował swoich czarnych owiec, które powolutku, bardziej z fantazji niż z zawartości halucynogenów w poczęstunku, wpały w upojenie.

— Zaraz się zaczniesz...

— Trzeba było sobie pooglądać kanał erotyczny.

— Zafalowałem uszami. Napłynął do mnie zapach, który potrafiłem rozpoznać. Ale wcale nie chciałem.

Comodi miei, pomyślałem, to co dla mnie wygodne. Pragnę tego, co dla mnie wygodne.

— Peccato — szepnąłem.

— Co?

— Szkoda — przetłumaczyłem, choć dosłownie peccato znaczy grzech. Ale przecież Byron pytał mnie o ogólny sens. Choć coś takiego w ogóle nie istniało w przyrodzie.

— Peccato — powtórzyłem.

— Ocal nas! Wyratuj nas! Zrób coś! — kiwały się psie sylwetki, nachylając prosząco ciała i wznosząc błagalnie pyski w stronę tajemniczego gościa kotwiczącego na pniaku.

— Niezła joga — burknąłem.

— Ja im dam jogę, Al! Klauni! Pudel w cyrku ma więcej godności. Ja im coś zrobię! — gorączkował

140-

się Byron, choć tej nocy można było uświerknąć z zimna. Byłem pewien, że ceremonia zaraz się skończy. Tylko gdzie dary? Gdzie ofiara? Czyżby znaleźli bóstwo, które miało takie rzeczy w nosie?

— A jeśli na tym pniu siedzi tygrys?

— Co ty pleciesz, Al?

— To jakiś cwaniak z innej dzielnicy. Cholerny samiec alfa.

— A jak to dziewczyna?

— Automatyczny akumulator! Brzęczący brzęczyk! Czekoladowe ciasteczko! — szczekał Tofu.

— Usposobienie człowieka jest złe już od mło-

dości — wył Jeremiasz.

— Ja wam dam mambo džambo — zaryczał Byron i wyskoczył z krzaków jak charcik włoski z bloku startowego na wyścigach. Prawie jak charcik włoski. Raczej jak turoń.

— Stój! — wrzasnąłem za nim.

Mieliśmy być dyskretni. Taka była umowa, czyż nie?

Kurtyna z chmur rozsunęła się i oto, jedyny trzeźwy, bo niezaślepiiony pychą, grzybami ni furia, ujrziałem obiekt kultu Ordinis. Vedete, compagni...
Widzicie, towarzysze...

Czarno-biała kotka zeskoczyła lekko z pniaka na ziemię i zniknęła w lesie.

141-

Turlaliśmy się po podusiach. W powietrzu, niczym starodawny wąż, unosił się dym. Spoceni Laura i Sebastian spoglądali na nas, jakby byli gotowi wcisnąć nam oseska. Albo tylko tak mi się wydawało.

„Czekolada uszczęśliwia”. Nie dalej niż wczoraj widziałem dawną właścicielkę Sybille. Była chuda, za to w wózku, który popychała przed sobą, drzemało tłuście dziecko. Spod czapeczki wystawały mu rude piórka. Sybille byłaby dumna z tego dziecka — z jaką radością dreptałaby obok swojej ludzkiej rodziny!

— Postanowiłem w końcu napisać książkę — powiedział Tramp. Strup pomiędzy jego łopatkami miał lada chwilę odpaść.

— To gratuluję. Masz już temat? Może napisz nowy Kot Leonarda da Vinci. Zrezygnuj z opisów Mony Lisy, skoncentruj się na Damie z łasiczką. Napisz, że tak naprawdę łasiczka była orientalnym kotem, księżniczką porwaną przez piratów w Egipcie i została sprzedana na florenckim rynku.

— Przemysłu to, mój biedny, sfrustrowany przyjacielu. Ale czy boski Leonardo nie namalował może psa?

Za cholereę nie mogłem sobie nic takiego przypomnieć...

— Chyba nie. Za to napacykował łabędzia. Na obrazie Leda. Wiesz, to była ta grecka księżniczka, która miała seksualną słabość do długich, białych piór.

142-

— E tam.

— Albo Psią Kamasutrę.

Chociaż, czekaj. Nie możesz tego zrobić. Uprzedziła cię taka dziewczyna, która zarabiała, wyprowadzając pieski na spacer. Dobra w tym była, miała do tego podejście. Ale na ciągnięciu smyczy nie zarobisz milionów. Była kreatywna, a próba utrzymania na smyczy młodego labradora wymaga kreatywności.

Tramp się roześmiał.

— Ale ludzie ostatnio mają fioła na punkcie labradorów. A ta dziewczyna nie nazywała się Jennifer Aniston?

— Nie. Tofik o niczym takim nie wspomniał.

— O Psiej Kamasutrze opowiedział ci basset, a ty mu wierzysz?

— Ja wierzę wszystkim swoim przyjaciołom. Psia Kamasutra zaczyna się jakoś tak: „Największy dog niemiecki — 20 centymetrów, średnica 6. Niewiele ustępuje mu owczarek niemiecki — 17, drugi wymiar 5,5. Najmniejszego ma cocker”. Gdyby Churchill przeczytał coś takiego w czasie II wojny światowej, od razu przegrałby wojnę, murowane. Wszyscy szczekalibyśmy po niemiecku, pytanie czy...
143-

— Czy wszystkie psy niemieckie zyskałyby coś oprócz języka Goethego?
Teraz ja się śmiałem.

— Myślałem o czymś bardziej soft.

— To może... Państwo się przeprowadzają i w czasie zamieszania z przenoszeniem biedermeierowskiego kredensu tracą z oczu swojego psa. Orientują się, że zaginął, kiedy są na drugim końcu Europy. Obchodzą po nim żałobę. A tu nagle rok później on wtacza się do ich nowego ogródka pełnego petunii. Jest chudziutki, łapy ma obtarte do żywego mięsa. Wszyscy płaczą.

— Lassie, wróci Proponujesz mi napisanie Lassie wróć?

— A la Charles Bukowski. Zresztą twój pierwszy pomysł był najlepszy. Opisz seryjnego mordercę z osiedla.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo go nie złapałeś.

— Fakt. Więc co napiszesz?

— O biednym małym chłopcu, tak samo niešťęśliwym jak jego szczeniak. O tym, że razem śpią w jednej budzie. O tym, że chłopiec dorasta i szczeniak dorasta. Chłopiec dochodzi do szczęścia i pieniędzy, a wraz z nim jego pies. Są nierozłączni.
144-

Pies się nie zgubi. Nieważne, na słomie czy na perskim dywanie, mężczyzna i pies mają jedną duszę.

— Tak. Ładne. Bardzo ładne. Nie wzięłeś tylko jednego pod uwagę.

— Czego?

— Że nim biedny chłopiec zamieniłby się w bogatego dobrodzieja, pies od dawna byłby martwy.

— Licentia poetica.

— Kontra życie.

Tramp ziewnął teatralnie.

— Dobranoc.

— Quanto mi ami?

— Co mówiłeś?

— Na ile mnie kochałeś? Tak powinien zapytać

pies swojego pana. O ile napiszesz tę historię.
Zacisnąłem powieki.

— Nie musisz tego oglądać — powiedziałem jej.

— Co ty opowiadasz? Jestem mu to winna.

Pies leżący na podwórku probostwa miał całkowicie zmiażdżony łeb. Wacek i Placek ukryli się za gołębnikiem i tylko od czasu do czasu lękliwie zerkali za węgła. Ich poranny posiłek powędrował z miski do żołądka i z powrotem.

— To jest ciało mojego męża — szczerknęła Vita.

— Identyfikuję je.

145-

— Jesteś tego pewna?

— Tramp, ja żyłam z tym psem cztery lata!

Bóg mi świadkiem, że nie przepadałem za Kazbekiem, ale gdy zobaczyłem go martwego, było mi przykro. Nieruchomy chart to takie nienaturalne.

Od 5000 lat tkwił w tej cudnej rasie instynkt pogoni za małymi zwierzętami. Kazbek miał go w specyficznej formie — biegał „za spódniczkami”. I należał do krwawej rasy, która zjada fenki — pieski pustynne. A jednak, mimochodem, zjadał serca nas wszystkich. Cóż, w końcu jako potomek psów faraonów może jeszcze nas zaskoczy i — sam nie wiem — odrodzi się. Mumie, piramidy, całe te życiowe pierwiastki „ka” i „ba”, i co tam jeszcze. Dziewięć żywotów egipskiego kota...

— Nie znosiłam tego. — Vita szarpnęła za czerwony sznurek zaplątany na psiej sztywnej łapie, dziwnie bladej wobec koloru rozlanej krwi. Wiadomo, że wszystkie charty mają ostre usposobienie, ale z zasady nie demonstrują uczuć. Przynajmniej nie przy psach spoza klanu. — Kazbek zawsze potrzebował dostępu do wolnych przestrzeni. Miejmy nadzieję, że wreszcie będzie go miał — zaszczekała. Stała nad zwłokami i wydawała się taka bezradna, ale to trwało tylko chwilę. Później nas opuściła.

146-

— Grace Kelly mogłaby się od niej uczyć — rzucił Tramp.

Dla niej sprawa tutaj się skończyła, za to moje śledztwo nabierało rumieńców.

I umierało — jak chart.

Spojrzałem w niebo. Jakimś cudem gołębie porzuciły gołębnik, wielkie i tłuste jak pełne deszczu chmury zataczały koła po niebie.

— No, chłopaki — zaszczekałem do Wacka i Placka. — Co widzieliście?

— Nic. To znaczy tego tam, trupa. Byliśmy dopiero co po śniadaniu, wszystko poszło... — smutno pokiwał łbem Placek.

— Więc była to kolacja ze śniadaniem.

— Nie, dlaczego? — oburzył się Wacek.

— Musieliście garować u jakichś suczek. Inaczej przecież nocowalibyście na podwórku, a Kazbeka zamordowano nocą. Na drodze prowadzącej obok

ruin dworku wprost pod bramę plebanii.

— To może on miał randkę?

— Zamknij się, głupku — warknął Wacek do Placka.

— Z kotką?

— Mało to jest bezceństw? — mruknął Wacek.

— Taaa. Istotnie. — Ptaki zniknęły z niebios. — Kazbek zginął przy katolickiej plebanii. Blisko Boga.
147-

Szkoda, że był muzułmaninem. Z drugiej strony może Bóg, nieważne jak go zwa, jest jeden. Albo ma dar bilokacji.

— Bi co? — pisał Placek.

— To znaczy, że ktoś może być w wielu miejscach jednocześnie. Jak święty Ojciec Pio — wyłumaczył mu Wacek.

— I jak wy.

— Co?

— Byliście u suczek. Byliście na plebanii.

Podniósł się hamider.

— Daj spokój, Al — rzekł Wacek. — Jesteś psem tak jak i my...

— Właśnie. Proboszcz uchyla bramę tylko rano w niedzielę, żebyście mogli pogonić tych, co nie chodzą na mszę! Ich psy! Przez większość tygodnia gąrujecie przy budach na podwórku! Przy budach, bo na samej plebanii nie nocujecie nigdy! Musieliście coś widzieć! — zawyłem.

Po moim monologu pierwszy otrząsnął się ojciec.

— Tajemnica spowiedzi — zaszczekał. — Nic ci do tego.

— Nic ci nie powiemy — dodał głupi Placek.

— Jasne, że nie. To ja będę rozprawał, że żaden z was nie zjadł freudowskiej rozprawy Tabu i totem.

Że wy obaj... Kazi...

148-

— Przestań.

— Kazbek. Kto go zamordował?

— Człowiek! — zaszczekał Wacek. — Człowiek, ty... Ty sukinsynu!

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

— Jaki?

— Dwunożny. Do licha, ciemno było.

— I co, nie pogubił się?

— Znał okolicę.

—A gdyby to był złodziej? Nie trzeba było szczekać?

— Nie był sam.

— Jasne, „był” z Kazbekiem. A potem z tym, co z niego pozostało!

— Nie tylko z Kazbekiem — szczeknął ostrożnie Placek. Wacek chapnął go za ucho. — Au, tata!

— Zawył z pretensją do rodziciela. — Powinniśmy szczekać? Powinniśmy. Grzech! Grzech! Grzech! Pokuta! — Przewrócił się na grzbiet i trochę zaczęło nim rzucać, jakby wypluwał z siebie demona o imieniu Legion.

— I co narobiłeś?! Placek ma od szczeniaka padaczkę. Ma padaczkę, to probostwo i mnie! Rozumiesz, Al?! Zostaw nas w spokoju, nim mój chłopak odgryzie sobie język.

— Co to był za pies? Ten z mordercą?

149-

— Mordercą był facet, który okropnie pachniał. A jego towarzysz? Pies jak pies. Jak suma wszystkich psów. A teraz na litość boską... — Wacek zająknął się. — Daj nam spokój.

— Amen — szczechnąłem.

„Teraz ziemia ją przygniata, lecz zbrodnia stanie przed oczami świata” — zacytowałem sam dla siebie Hamleta. Szkoda, że Szekspir nie pisał po łacinie albo chociaż po włosku, pomyślałem.

„Zwalcz w sobie rozpacz jak mężczyzna” — to z Makbeta. Też cholera po angielsku.

Poszedłem do ruin folwarku, precyzyjnie się przez dziurę, mało nie zostawiając uszu na poszarpanej siatce.

„Ruiny”, „Folwark”, nawet „Dworek” — nazwaliśmy to miejsce różnie, ale dziś to była tylko zrujnowana stajnia. I od wieków mieszkały tu koty, możliwe, że wciąż te same, nad którymi unosił się jak duch zapach starożytnych końskich derek, rozgrzanych końskich boków i nasmarowanych łojem siodeł oraz uprzęży.

Kotka wyszła mi naprzeciw.

— Chodź do środka. Zimno. Wieje. A ja mam małe dzieci.

Zaraz odnalazła swoje miejsce w kącie, z którego miała widok na wszystko, położyła się na boku, 150-

a kociaki podpełzły do jej wystających, mlecznych sutków. Ubijały pazurkami matczyne futerko i ciamkały głośno. Kotka się uśmiechała. Koty to potrafią.

— Możliwe, że to mój ostatni miot — zamiau- cziała.

Bąłem się odezwać: „Chwilo, trwaj...”.

— Jesteś kastratem — stwierdziła. Nie zrobiło to na niej wrażenia.

— Upadek wroga, coś lepszego mogło cię spotkać?

— Polizała łapkę. — Czekałam na ciebie.

Zaczęła zeznawać. To znaczy opowiadać. Mój as w rękawie. Karmiąca kotka.

— Hej, hej, Tramp. Czy wiesz, że Goofy i Pluto, te śmieszne psy, to bloodhoundy?

— Czemu mi to mówisz, Al?

— Bo to są śmieszne psy. Bloodhoundy.

— Przestań się zgrywać.

— Muszę. A ty co taki na serio? Coś cię gnębi? Czytasz Dostojewskiego?

— Nic mnie nie gryzie.

— Wow! Naprawdę? Pooglądaj kreskówki, może cię odprężą, a może nie.

— Przestań, Al.

— A ty przestałeś?

— Tak.

151-

— Musiałeś przestać. O rany! Śmieszna kreskówka dla śmiesznych psów, ale się ubawiłem. Myślisz, że to początek końca, taki śmiech? Wiesz, demencja. W końcu jestem stary. Dotykam pyskiem grobu.

— Przestań, Al.

— Powinienem oglądać inne filmy. Może wytwórni MGM. Wiesz, tej z dużym miauczącym kotem w logo. I z napisem: „Ars Gratia Artis”. Śmieszne psy, śmieszne stare psy, które za wolno kojarzą fakty!

— Skończyłem z tym.

— Ooo! Pryza pójdzie siedzieć. Nie za morderstwa. Za przewały budowlane. Sebastian tego dopilnuje. Kto się interesuje morderstwem psów? Nieźle to sobie wykombinowaliście. Cmentarz dla psów przy lesie, schronisko dla psów na łące, knajpa na folwarku. Wszystko pod przykrywką fundacji.

— Nie ja to wymyśliłem!

— Brakowało wam tylko jednego. Psów porzuconych, a przede wszystkim psów martwych. Taki zdechły pies jest gorszy od żywego. Nie porusza się, nic wokół siebie nie robi. Nie przymierzając, „wielka kupa”. A wiele martwych psów? Tutaj na osiedlu? Co zrobić z ciałami? Co zrobić z dziesiątkami martwych psów? Ano, potrzebny cmentarz. A jeśli... A jeśli te wszystkie psy się jednak ruszają? Jeśli tylko Pryza widzi je martwymi? Ktoś je musi wystawić, wywabić z domowych pieleszy. Pod nóż. Kto? Inny pies. Najlepiej podrzutek, bo przecież nie możemy zapomnieć, spuścić z oka istoty całego projektu. Cmentarz. Schronisko. Knajpa. Mamy tu idealny wzorzec współpracy na linii człowiek — pies. Dowód udomowienia i twojej inteligencji. Zakochany kundel to żaden durny Pluto. Prawie ci się udało Tramp, ty cholerny psi... — Zamilkłem.

I milczałem. Z sobie znanych powodów.

Diane Keaton w Allenowskim Manhattanie mówi: „Wydawało mi się, że miałam orgazm, ale mój lekarz mówi, że to nie to”. Laura nie miała takich problemów. Dla niej kulminacją stosunku seksualnego był dymek z papierosa. Zawsze i wszędzie. Brała czorta z bibułki w pełne purpurowe wargi i poruszała nim w górę i w dół, a uśmiech satysfakcji rozlewał się po jej zaróżowionej twarzy. Suka Freuda miałaby używanie. Żaden z facetów Laury nie zauważył, że całą satysfakcję daje jej camel. Cóż, nie znam żadnego psa ani żadnego faceta, który tak naprawdę miał kompleks użyteczności swojego członka. Jakim mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takim mnie masz. Na tym przekonaniu opiera się cała samcza solidarność, której tak roz-

paczliwie brakuje suczkom i kobietom. W każdym razie, że przerwę swoje szowinistyczne wywody, tamtej nocy Laurze w najistotniejszym momencie zabrakło fajek. Jak to możliwe? Sebastian też lubił sobie zapalić... Laura była zła, a kiedy jest zła, bywa roztrzępana. Tramp miał zamiar z tego skorzystać. Laura wyszła do sklepu nocnego, my za nią, prawie wybijając drzwi z framugi, tak nam się śpieszyło. Sebastian nieświadomy, że właśnie skazał się na niebyt w naszym życiu, zasnął błogo. Śpij, mój książę... Tramp ominął szczerzącą się windę Otis i ruszył w dół schodami ewakuacyjnymi. Zrobił to w kompletnej ciszy, choć zwykle lubił szczeniem niepokoić odpoczywających burzujów. Pognałem za nim. Jednego byłem pewien: Tramp nie zamierzał już tu wracać.

Biegł przed siebie, bo wiedział, że ja wiem. Wszystko. Prawie wszystko. Wolałbym być nieświadomy jak szczenię. Dałbym łapę, że on też.

Minał furtkę, zbiegł z podjazdu dla dziecięcych wózków, przeciął dębową alejkę, pole i zniknął w lesie. Laura nic nie zauważyła.

— Ach, dajmy spokój — szczenką Tramp i się zatrzymał.

— To miłe — pierwszy mróz szczytał moje łapy. Gadałem bez sensu. Powinienem powiedzieć Trampowi, żeby zawrócił, że włóczęgi u progu zimy są pozbawione głębszego sensu, ale nie zrobiłem tego. Bo w końcu decyzja Trampa nie była aż tak głupia, w sumie miała głębokie egzystencjalne znaczenie. Szczególnie gdy dojrzałem kryjącą się za drzewami postać.

— Dlaczego?... — spytałem. Dlaczego pomagałeś temu okrutnemu człowiekowi? Co chciałem usłyszeć? Bo był moim panem, a ja jego psem? Bo nie dało rady inaczej? Bo...?

— Ktoś jeszcze wie?

— Tylko ja — odparłem. — I ona?

Księżyc wyszedł za chmur i futro saluki rozbłysło zimnym, złudnym ogniem.

— Ona też — zgodził się Tramp. — Wiesz, jak to jest, Al.

Wiedziałem. I czułem się zupełnie jak ten durny Bogart na zakończenie Casablanki. Nic się nie dało zrobić. Schwytała nas rzeczywistość noir.

— Dbaj o nią. — Znowu nie odważyłem się powiedzieć, że zawsze mogą wrócić... Samolot kołował na lotnisku. Pieprzony Bogart.

— Al — zamachał ogonem.

— Tramp — otarliśmy się pyskami.

155-

I to by było na tyle. Zniknął mi z oczu. Za jednym zamachem łapy zabierając mi dwie istoty, które kochałem.

Natura deficit, fortuna mutatur, deus omnia cernit — co bardziej rozsądni rzymscy cesarze nosili syngnet z taką sentencją. Służę tłumaczeniem: „Natura

nas zdradza, fortuna się zmienia, bóg patrzy z góry na to wszystko". Myśl ujmująca w swej prostocie, co nie oznacza, że łatwa do przyjęcia. Rozwiązałem zagadkę. Czy liczyłem na triumf, który zgotują mi psy, wydobyte przeze mnie z cienia gwałtownej śmierci? Jasne, że liczyłem! Nie miałem na myśli nic specjalnego: ot, umajony Łuk Triumfalny wzniesiony na moją cześć na patio. Wyżerka, walki gladiatorów, pokaz sztuczek oswojonych słoń. Charcica koronująca moją suchą kościstą czaszkę wieńcem laurowym, który wdzięcznie oparłby się na uszach. O święta naiwności! Powinienem się raczej cieszyć, że ominęły mnie ldy Marcowe (patrz: historia Juliusza Cezara), z drugiej strony do marca było jeszcze daleko.

Sklamiałem w kwestii kwiatów, bo jakieś kwiaty były i od razu lądowały w kubie na śmieci albo przelatowały przez balkon, przez co mieszkanie było bardzo wychłodzone. Dobrze się domyślcie: Laura poszczuła mecenasa Sebastiana posążkiem Buddy... 156-

Ten biedny facet jednak tak łatwo nie rezygnował. Współczułem mu, w tak krótkim czasie stracić „kobietę swojego życia” i ukochanego psa! Z drugiej strony nie wyobrażałem sobie jego wizyt u nas bez Trampa...

Laura ze znaną sobie subtelnością wyrzuciła róże, a zostawiła białe lilie, na które byłem uczulony. Parskałem i parskałem od ich zapachu. Po co ograniczać się do lilii i ich powolnego zabijania? Cmentarne kalie poproszę, płaczące o świcie! Chryzantemy! o rany! Stare psy potrzebują spokoju! Jeszcze trochę i będę aportował Laurze różowy, naturalnie żyłkowy wibrator, a ona będzie miała mroczną satysfakcję, patrząc, jak gumowy penis komponuje się z moimi zębami... Kompleks kastracyjny? Laura na pewno go miała.

— Wyłaż! Wyłaż! — Tofik wydzierał się pod moim balkonem, niczym uwłaczający Szekspirowi (bo nie mnie) Romeo. Odkąd Tramp odszedł, Wielki Kinol odzyskał apetyt na życie.

— Al! Mam wiadomość! Nie uwierzysz, kto się do nas wprowadza!

Przypomnijcie mi, że nie zabija się herolda, kiedy ten przynosi złe wieści, ot, kwestia kultury. A jeśli wieści były dobre? Zżerała mnie ciekawość. Stałem pod drzwiami balkonu i zawyłem:

157-

— Wypuść, kobieto!

Oberwałem odłamaną lilią, co nawet mnie ucieszyło. Bukiet się rozsypał i już nie tylko śmierział, ale i straszył. Kubetek? Balkonik? Balkonik.

— Czego, Tofu? — szczeknąłem do basseta, który nie mógł ustać z niecierpliwości na łapach. Mój oddech parował w porannym powietrzu. — Silenzio — warknąłem, zamykając Tofikowi pysk, bo oto ktoś z sąsiadów nie tylko odważnie otworzył okno,

ale i dzielił się z przypadkowymi słuchaczami dźwiękami muzyki. „Malinconia, ninfa gentile”. Opera uszczęśliwia! „Poprosiłem bogów o wzgórze i źródła; nareszcie mnie wysłuchali, będę żył szczęśliwy, i nigdy nie zapragnę odejść od tej wody ani przeprowić się przez góry”.

— Al! Nie uwierzysz...

Uniosłem łeb i zacząłem węszyć.

Akcja dla zwierząt

Organizacja Pożytku Publicznego

/

Fundacja Międzynarodowy Ruch na Rzecz Zwierząt Viva! powstała w Polsce w 2000 roku, natomiast w Wielkiej Brytanii działa już od 1994 roku. Fundacja podejmuje działania na rzecz praw zwierząt, poczynając od edukacji poprzez organizowanie happeningów i demonstracji, a na interwencjach i próbach zmiany prawa kończąc. Prowadzonych jest wiele kampanii mających na celu zwiększenie świadomości ludzi dotyczącej problemów takich, jak wykorzystywanie i zabijanie zwierząt na potrzeby mody, rozrywki, nauki, jedzenia oraz źle rozumianej tradycji. Dzięki wielu akcjom, profesjonalnemu podejściu i wsparciu naukowców oraz znanych osób działania Fundacji są coraz lepiej nagłaśniane przez media i mają coraz większy zasięg.

Ty również możesz przyłączyć do naszych działań!

Chów przemysłowy. Na wskutek zapotrzebowania na duże ilości taniego mięsa stworzonego przez konsumentów zwierzęta zostały wprowadzone do roli maszyn wytwarzających mięso, jaja czy mleko. Na nienaturalnie małej powierzchni spędzają życie pozbawione wszelkich możliwości realizowania swoich naturalnych potrzeb. Chów przemysłowy jest również powodem wycinania lasów pod uprawę pasz dla zwierząt oraz źródłem zanieczyszczeń ziemi, gleby i powietrza. Kupując produkty pochodzące z przemysłowego chowu, a w tej chwili większość z niego pochodzi, przyczyniamy się do tej sytuacji.

Wegetarianizm. Część osób, którym zależy na zwierzętach, własnym zdrowiu i ochronie środowiska, wybiera wegetarianizm. Jest to sposób odżywiania oparty na pożywieniu pochodzenia roślinnego. Nie kupując mięsa, nie przyczyniamy się do cierpienia zwierząt takich, jak świnie i krowy, które nie różnią się niczym od naszych domowych pupili. Oszczędzamy również środowisko, które wg raportu ONZ z 2006 roku jest bardziej zanieczyszczane przez hodowlę zwierząt niż transport samochodowy. W ten sposób chronimy także własne zdrowie - według największej organizacji dietetycznej (ADA) wegetarianie są mniej narażeni na nadciśnienie, nadwagę czy choroby serca.

Konie. Konie są nieodłączną częścią naszej kultury i historii. Pomagały nam się żywić, kiedy nie mieliśmy maszyn, poruszały się i transportować, zanim wynaleźliśmy samochody. Służyły w wojsku, ginąc i odnosząc rany podobnie jak ludzie. Nadal używamy ich do hipoterapii i rekreacji. Mając to wszystko na uwadze, uważamy, że konie nie powinny cierpieć w drodze do rzeźni i podczas samego uboju i podobnie jak psy czy koty zostać uznane za zwierzęta towarzyszące, co wiązałoby się z zakazem ich zabijania.

Sterylizacja. Sterylizacja i kastracja jest najskuteczniejszą, łącznie z promowaniem adopcji, metodą zapobiegania bezdomności zwierząt. W polskich schroniskach przebywa obecnie około 70 000 psów i 16 000 kotów, dla których nie ma domów. Każdy kolejny miot szceniąt lub kociąt zmniejsza szanse adopcji tych czekających w schroniskach. Oprócz tego sterylizacja jest wskazana pod innymi względami, np.

chroni przed ropomaciczem. Fundacja Viva! Stara się propagować sterylizację oraz obalać szkodliwe mity, jakie na jej temat krążą.

Cyrk. Zwierzęta w cyrku są niczym więcej niż żywym rekwizytem, który ma przyciągnąć publiczność. Są one trzymane w klatkach, które nie pozwalają im na spełnianie swoich naturalnych potrzeb, a w sezonie cyrkowym większość czasu spędzają w transporcie z jednej miejscowości do następnej. Oprócz złych warunków, które często prowadzą do chorób psychicznych, poddawane są tresurze. Zwierzę, w przeciwieństwie do człowieka, nie może samo dokonać wyboru, czy chce coś robić czy nie - nawet jeśli nie chce, jest do tego zmuszane siłą. Często stosuje się okrutne metody w tresurze, by zmusić dzikie zwierzę do zrobienia czegoś zupełnie dla niego nienaturalnego, jak chociażby skakanie przez ogień, przed którym w naturalnych warunkach by uciekało.

Futra. Każdego roku hodowanych i zabijanych na futra jest kilkaset milionów zwierząt. Całe około dziesięciomiesięczne życie spędzają w małych, jałowych klatkach, co prowadzi do samookaleczeń i kanibalizmu. Na jedno futro trzeba zabić - najczęściej prądem lub gazem -100 szynszyli, 20 lisów lub 30 norek. Każdy z nas może pomóc zakończyć ten proceder, nie kupując futer ani żadnych ubrań z jego dodatkami.

Polowania. Polowanie na zwierzęta to okrutna rozrywka, której nie można wyjaśnić ani próbą regulacji środowiska, ani względami ekonomicznymi. Myśliwi zabijają, bo czerpie z tego przyjemność, a cierpią na tym zwierzęta. Co roku tysiące z nich ginie tylko po to, by stać się czymś trofeum. Najczęściej zabijane są najsilniejsze i najpiękniejsze osobniki - nie tak jak w przypadku naturalnych mechanizmów - chore i najsłabsze. Nie jest również prawdą, że zwierzęta giną bezboleśnie od jednego strzału, często poranione, długo męczą się, wykrwawiając na śmierć.

Testowanie. Każdego roku około 100 milionów zwierząt ginie w laboratoriach w niewyobrażalnych cierpieniach. Testuje się na nich kosmetyki, leki, środki czystości, wykonuje eksperymenty. Mimo to 92% nowych leków, które przeszły testy na zwierzętach, nie nadaje się do użytku dla ludzi na etapie badań klinicznych. Z pozostałych 8% potowa po wejściu na rynek jest wycofywana, ponieważ wywołuje efekty uboczne. Kupując produkty testowane na zwierzętach, wspieramy okrutne eksperymenty. Popierajmy alternatywne metody, które są bardziej wiarygodne, a przede wszystkim nie powodują zbędnego cierpienia milionów stworzeń.

Zabierz Fiskusowi - daj zwierzętom! Darowizna dla Fundacji Viva! to nic więcej jak przekierowanie 1% podatku na rzecz działań pożytku publicznego zamiast do skarbu Państwa. Każdy zatem może pomóc zwierzętom, przekazując Fundacji 1% swojego podatku - to nic nie kosztuje, a może zdziałać naprawdę wiele. To właśnie dzięki 1% podatku w zeszłym roku Fundacja objęła opieką około 800 zwierząt (psów, kotów, koni i innych), finansowała ich leczenie i utrzymanie, póki nie znaleźli się nowi opiekunowie. 1% podatku umożliwił również przeprowadzenie wielu interwencji, szkoleń, wykładów.

Zoo. Istnienie zoo często tłumaczy się potrzebą ochrony zagrożonych gatunków. Jednak tylko niewielki procent zwierząt tam przebywających do nich należy. Zwierzęta często żyją w zbyt małych i jałowych pomieszczeniach, które nie pozwalają im na swobodne interakcje z innymi przedstawicielami gatunku. Na przykład niemożliwe jest stworzenie odpowiednich warunków dla drapieżnika żyjącego w zamknięciu na małym terytorium. Oprócz tego zwierzęta w zoo postrzegane są jako eksponaty, a nie żywe istoty z potrzebami i uczuciami.

Korrida. Organizatorzy korridy starają się przedstawić nam ją jako równą walkę człowieka ze zwierzęciem. Tymczasem byki przed walką

są okaleczane, oślepiane, mają odpiłowane rogi i są celowo męczone, przez co wychodzą na arenę bez szans na ujście z życiem. Również konie używane w trakcie przedstawienia są narażone na poranienie przez byka. Zwierzę umiera z wycieńczenia i utraty krwi. Nie oglądajmy i nie wspierajmy korridy ani innych walk z udziałem zwierząt! Adopcje. W polskich schroniskach na adopcję czeka ponad 100 tys. zwierząt. Schronisko to miejsce często przepełnione, z nieodpowiednią opieką i niebezpieczne dla zwierząt małych, słabych lub chorych. Jeśli chcesz mieć w domu zwierzę - przygarnij je ze schroniska! Uratujesz mu w ten sposób życie, a sam zyskasz najwierniejszego przyjaciela! Foki. Każdego roku na całym świecie zabijanych jest kilkaset tysięcy fok i foczych szceniąt. Część z nich jest nadal świadoma podczas obdzierania ze skóry, doświadczając niewyobrażalnego cierpienia. Dzięki kampanii prowadzonej przez wiele organizacji na całym świecie udało się wprowadzić zakaz importu produktów pochodzących z polowań na foki do UE, ale nadal potrzebna jest presja na rządy krajów, w których polowania mają miejsce. Tylko z Waszą pomocą możemy zakończyć ten okrutny proceder!

Karpie. Święta Bożego Narodzenia to czas, którego wszyscy nie możemy się doczekać: pełen radości i spokoju, spędzany wspólnie z rodziną. Trudno więc uwierzyć w to, że Święta nazywane czasem współczucia i dobra, dla karpie są wypełnione bólem i strachem. W reklamówkach i przepełnionych pojemnikach bez wody duszą się godzinami. Pomyśl, co powiedziałby Ci twój karp w wigilię, i świętuj bezkrawe Boże Narodzenie!

Informacje na temat wszystkich akcji prowadzonych przez Vivę! znajdziecie Państwo na stronie: www.viva.org.pl

ABC kryminału na wesoło!

Nic tak nie poprawia humoru, jak dynamiczna akcja i zabawne perypetie w kryminale. Sympatyczni inteligentni bohaterowie, brawura, romantyczne romanse i tajemnica, którą nie tak łatwo wyjaśnić. Zapraszamy do lektury naszych najciekawszych kryminałów na wesoło!

Wycieczka na tamten świat

Anna i Siergiej Litwinowie

ISBN: 978-83-62465-15-6

Cena det. 35 zł

Zabawna powieść kryminalna, pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji i intrygujących wydarzeń. Trójka pasażerów zostaje oskarżona o spowodowanie wybuchu w samolocie lecącym do Archangielska. Przypadkowi znajomi - piękna Tania, dziennikarz Dima i zawodowy karciarz Iwan - poszukiwani są nie tylko przez milicję i służby specjalne. Z jakiegoś powodu ich tropem podąża również mafia. Zdezorientowani przyjaciele podejmują brawurową ucieczkę. Jednocześnie usiłują wyjaśnić tajemniczą historię, która całkowicie odmieniła ich życie. Wycieczka na tamten świat to pierwsza powieść z cyklu o Tani Sadownikowej, młodej i atrakcyjnej poszukiwaczce przygód.

Mucha

Przez polską blogosferę okrzyknięta
najśmieszniejszym kryminałem 2010 r.

Jacek Skowroński

ISBN: 978-83-62465-10-1

Cena det. 29,90 zł

Ta mucha cię użądli... Zblazowany agent ubezpieczeniowy Apoloniusz stawia się na spotkanie w sprawie polisy. Przyjmuje go roznegliżowana pani domu. Podeksytowany mężczyzna nagle dostrzega przez okno pana domu, który właśnie wyprawa na tamten świat pewnego gościa. Apoloniusz daje drapaką przez okno. I tak rozpoczyna się jego bohaterska walka z Muchą, czyli znanym gangsterem Konradem Z., który ani myśli rezygnować z pogoni za nieszczęsnym świadkiem. Nieprawdopodobne sytuacje, pościgi, zawrotne tempo i humor - wszystko to znajdziecie w najnowszym kryminale Jacka Skowrońskiego, któremu patronują mistrzowskie realizacje komedii gangsterskiej w rodzaju „Żądła”.

Ostatnią kartą jest śmierć

Anna Klejzerowicz

ISBN: 978-83-62465-09-5

Cena det.: 24,90 zł

Prawdopodobnie najlepsza kobieca agencja detektywistyczna w Polsce! Weronika Daglewska, dziennikarka i autorka rubryki kryminalnej, udaje się do wróżki. Ekscentryczna Semiramida po rozłożeniu tarota ostrzega ją przed niebezpieczeństwem. Po paru miesiącach okazuje się, że wróżka wypadła z okna. Weronika od razu podejrzewa, że coś jest nie tak. Utwierdza ją w tym przekonaniu mąż wróżki, który prosi ją o odkrycie mordercy żony. Dziewczyna, której największym marzeniem jest posiadać agencję detektywistyczną, przyjmuje zlecenie. I tak rozpoczyna swoje pierwsze w życiu prawdziwe śledztwo.